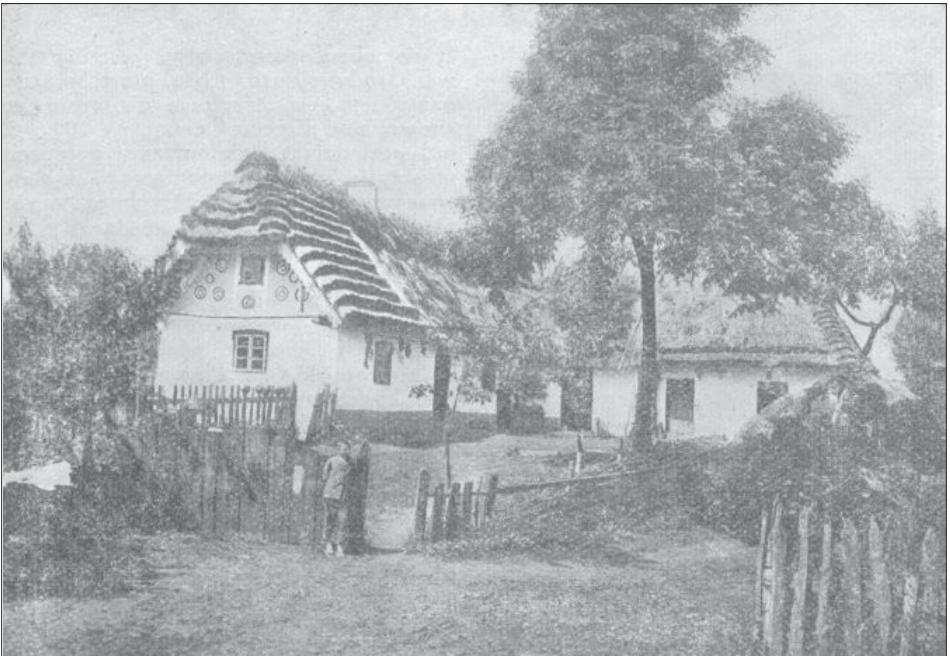


SPOTKANIA SŁIRZAN

Nr 1 (148)

LUBIN

2021 r.



Zagroda chłopska w Kurowicach.

Źródło: *Wiadomości Turystyczne*, nr 8-10, str. 52.

Szanowni Krajanie,



olejny zeszyt „Spotkań Świrzan” rozpoczyna 29 rok wydawania pisemką dla byłych mieszkańców pow. Przemyślany i ich potomków. Kresowian z naszego terenu jest coraz mniej, co ma znaczący wpływ na ilość wspomnień z pierwszej ręki, a tym samym na wypełnianie podstawowej roli naszej gazetki.

Posiadane materiały wystarczą na wypełnienie 240 stron zeszytów, choć na pewno nie wszystkie będą tak samo interesujące. Oprócz wspomnień znajdują się m.in. wypisy z dzienników urzędowych, które wprowadzicie dorzucając kamyczki do kresowej mozaiki, ale w mniejszym stopniu ilustrowają życie codzienne.

Czytelnicy znają już kilku autorów wspomnień i kolejne ich teksty będą publikowane. Są również nowi utalentowani autorzy z ciekawymi tematami. Ponadto nie zabraknie tekstów z problematyki polsko-ukraińskiej, autorów polskich i ukraińskich. Być może w Instytucie Pamięci Narodowej ukażą się nowe nazwiska ofiar napadów ukraińskich nacjonalistów, co pozwoli na uzupełnienie wykazu posiadanego przez redakcję.

Przy tej okazji ponawiam prośbę o nadsyłanie wspomnień napisanych przez naszych Kresowian bądź opowiadań usłysanych od członków rodziny i znajomych. Tylko w ten sposób możemy wspólnie zachować wydarzenia na trwałszym nośniku.
Lubin, grudzień 2020r.

Józef Wyspiański

Spis treści numeru 148

Str.

3. Kartka z pamiętnika. L. Cyganik. Słodkie i kwaśne odcienie życia (II).
19. M. Piotrowska. Popielaty wiersz.
20. Wybrane teksty z Dziennika Urzędowego wydawanego w Przemyślanych (II).
26. Przeżyłam cztery wojny. Wywiad z M. Trybułską (II).
32. Profesorowie z naszego powiatu - Adam D. Rotfeld.
34. Pokłosie naszych publikacji (redakcja).
35. L. Deskur. Dziękuję Ci Stasiu...
36. J. Wyspiański. Wykaz ofiar zbrodni popełnionych przez nacjonalistów ukraińskich na osobach narodowości polskiej w pow. Przemyślany (XXXIV).
38. Pożar w Glinianach.
40. Wpisy dzieci w księdze „Deklaracji Podziwu i Przyjaźni dla Stanów Zjednoczonych” - ze szkoły w Łoni, Majdanie Lipowieckim, Mazowie, Ostalłowicach i Podusilnej.

Red. Poniższy tekst jest fragmentem książki Leopolda Cyganika o tym samym tytule, która ukazała się w 2020 r. Dziękujemy Autorowi za zgodę na przedruk w naszej gazecie.

Leopold Cyganik

Słodkie i kwaśne odcienie życia (cz. II)

4. Znów wojna

Rano w niedzielę, 22 czerwca 1941 r., dowiedzieliśmy się, że między III Rzeszą a Związkiem Radzieckim wybuchła wojna. Jeszcze zanim Rosjanie dosłownie uciekli a wojsko niemieckie wkroczyło do Przemyślan, mój wujek, mąż Loli, poszedł na „setkę” do Kowalczyka. Widocznie zbyt optymistycznie wyraził się o początku owej wojny, bo z knajpy nigdy nie wrócił. Trafił na enkawudziście, któremu musiał się narazić (a takiemu stosunkowo łatwo było podpaść). Nie wiadomo co się z nim wówczas stało. *1

Przez ten krótki moment, kiedy Niemcy wkroczyli na Kresy, jeszcze nie ukazawszy swojego prawdziwego oblicza, ludzie odnajdowali i rozkopywali nieoznaczone groby z napuchniętymi ciałami wewnątrz, ludzi pomordowanych przez NKWD. To widok, którego nie sposób pozbyć się z pamięci przez całe życie. Lola jeździła szukać wujka po całym okolicznym terenie w takie miejsca. Niestety nie odnalazła jego zwłok. Później za wszelką cenę Rosjanie starali się winą za masowe mordy obarczyć armię niemiecką, choć mieszkańcy naszych okolic znali przecież prawdę. Natomiast niepewni swojej pozycji Ukraińcy czekali na dalszy rozwój wydarzeń.

Można sobie tylko wyobrazić, jakim szczęściem po podobnych wydarzeniach było dla nas wojna rosyjsko-niemiecka. Żołnierze Wehrmachtu byli w Przemyślanach już w czwartek. W naszych oczach (przez krótki czas rzecz jasna) ludzie ci zdawali się roztaczać aurę wybawców. Pamiętam też moje wrażenie, jak pobiegłem do pięknego, nowego sadu ciotki Mili i wujka Kazika, położonego na wzgórzu, oczywiście w Przemyślanach. Lubiłem tam chodzić. W tym dniu natknąłem się na żołnierzy niemieckich. Czystych, młodych i przyjaźnie nastawionych szczególnie do dzieci.

Po wkroczeniu Niemców na Kresy udałem się pieszo na Pohebllice, aby zobaczyć co stało się z moim rodzinnym domem. Na miejscu, w międzyczasie, powstał kołchoz. Bardzo mnie rozbawił widok trzydrzwiowej szafy mojej mamy, przewróconej na podłogę i wyłożonej słomą - przerobionej na łóżko. Śpiący w niej ludzie zamykali drzwi, by było im ciepło, spędzając noc w małej, dusznej przestrzeni, niemal jak w trumnie. A ja wciąż miałem nadzieję, że już nigdy nie

będę musiał chować się za lustro w sypialni ciotki Loli.

Po młodych niemieckich wybawcach, na Kresy wkroczyło KRIPO (niemiecka policja kryminalna) i SS. Ukraińcy natomiast, wcześniej trzymający ze Związkiem Radzieckim, podporządkowali się niemieckim wojskom i znów umiejętnie wtopili w wojenną maszynę, bez większych strat. Teraz to Niemcy mieli zagwarantować Ukrainie autonomię. Postanowili więc być im posłuszni. Utworzyli ukraińską milicję, której rękami nowy okupant załatwiał wiele spraw. Na terenie Przemyślan powstało żydowskie getto, a Niemcy stali się dla nas tym samym, czym wcześniej Rosjanie. Gdy do Polaków dotarło, że mają do czynienia z wrogami a nie przyjaciółmi, jak na początku sądzili, zaczęła się tworzyć Armia Krajowa. Wkrótce do niej wstąpił mój wujek, Józef Utzig, który przed wojną zdołał rozpocząć studia weterynaryjne, a w owym czasie, przebywał we Lwowie u ciotki Ani. Niestety, po drugiej stronie także zaczęły formować się ugrupowania, takie jak UPA, których działalność odbiła się na społeczeństwie polskim ludobójstwem.

W Przemyślanach wciąż czytywano przepowiednie, ale na powrót otwarto kościół. Także i w nim dałem się poznać. A to raz aż nadto spodobała mi się funkcja dzwonnika. Dzwony umieszczone były nisko nad ziemią, tak że dało się na nie wskoczyć. Huśtałem się na uszach kościelnego dzwonu, tak długo aż ksiądz Stanoszek, któremu zawdzięczałem spolszczoną wersję mojego nazwiska, nie ściągnął mnie z niego... kijem.

Innym razem, w święta Wielkiej Nocy, siedzieliśmy w sadzie u proboszcza. Jeszcze nie było czym się częstować, bo jabłoni dopiero miała obrodzić (częstowaliśmy się oczywiście nielegalnie). W kościele trwało nabożeństwo, ale ja i moi koledzy w nim nie uczestniczyliśmy. Po ucieczce Rosjan wszędzie zostało mnóstwo amunicji i broni. W sadzie znaleźliśmy pocisk, z granulowanym prochem w środku. Oczywiście postanowiliśmy poeksperymentować. Rozpaliliśmy ognisko i wybudowaliśmy nad nim rusztowanie z kamieni. Gdy ogień podgrzał konstrukcję, położyliśmy pocisk na jej szczycie. Ale ponieważ nic się nie działo, wróciliśmy na nabożeństwo. Po pewnym czasie usłyszeliśmy huk. Ludzie w panice wybiegali z kościoła nie wiedząc, co się dzieje. A my wówczas postanowiliśmy wytrwale pozostać w modlitwie. Mało tego, by odciągnąć uwagę od siebie, podeszliśmy pod balaski i jako jedyni nie reagowaliśmy na



Autor wspomnień, fotografia z lat dziewięćdziesiątych XX w.

wszechobecny chaos. Cudem można nazwać fakt, że żadnemu z nas, ani nikomu w ogóle, nic się nie stało.

W tamtym czasie Tosia zaczęła bywać u nas w domu. Ona także nie miała szczególnie ciepłego kontaktu ze swoją opiekunką, ciotką Miłą. Często żaliła mi się, że musi ciągle pracować, choć dziś z perspektywy sędzę, że bardziej bolała ją fakt, że pracowała w cudzym domu, niż że praca była szczególnie uciążliwa. Te same obowiązki wypełniała w domu rodzinnym.

Jako podrostek miałem coraz większą świadomość tego, że jest wojna. Może to zabrzmiało dziwnie w tym miejscu ale tak właśnie było. Mój tok rozumowania był prosty. Rosjanie byli źli, ponieważ zabrali mi rodziców. Ukraińcy byli źli, bo trzymali z Rosjanami. Niemcy także byli źli, z racji coraz bardziej widocznego sojuszu z Ukraińcami. Wnioskowałem, że na ludzi należy bardzo uważać, choć o tym, że i wśród Polaków są zdrajcy dowiedziałem się dopiero po wojnie. Przemysłany były zbyt małe, by kolaborant mógł czuć się spokojny. Ta świadomość niebezpieczeństwa płynącego ze strony Niemców rosła stopniowo. Wkrótce i oni zaczęli wywozić ludzi z Przemysła. Oczywiście nie na Sybir, a na przymusowe roboty w głębi III Rzeszy. Tym razem jednak wywózki dotyczyły młodzieży. Jeśli ktoś skończył lat czternaście, jechał do ciężkiej, morderczej pracy. Dlatego moja ciotka zadbała o to, by w mój akt urodzenia wpisano 1932, jako rok moich narodzin. Dzięki temu wywózka na razie mi nie groziła.

Moje życie toczyło się więc podobnie, jak do tej pory (mówię o okresie wojny oczywiście). Nauczyłem się łowić raki w Gniłej Lipie. A nie było to łatwe, bo można było zostać dotkliwie uszczypniętym. Raki mieszkają w jamach. Opracowałem technikę, dzięki której raczej mi się to nie zdarzało. Stanowiły pyszne i stosunkowo łatwo dostępne pożywienie. Smaczne były szczególnie z ziemniakami. Miałem też inne obowiązki. Ciotka Lola pracowała na policji niemieckiej jako pomoc kuchenna. Pamiętam, że czasem gdy wracała z pracy kazała mi chodzić do młyna i mówić niejakiemu panu Staszewi, że jego ciotka przyjeżdża z wizytą. Potem dopiero dowiedziałem się, że było to hasło ostrzegawcze przed zbliżającą się obławą. Oczywiście nie mając o tym pojęcia, byłem bezpieczny. Na pewno bardziej, niż gdybym był świadomy. Wracałem do domu, szczęśliwy, że pan Staszek już wie, że będzie mieć gości.

Czasem ciotki zbierały się w domu babci by omawiać ważne rodzinne sprawy (nazywam te zebrania sejmikiem ciotek). Często też uchwałyły ważne postanowienia. Między innymi - kary dla mnie. Na wszelki wypadek rozmawiały po niemiecku, żebym ich nie rozumiał. Ja także nie należałem do dzieci złotych i jednocześnie szyszanowanych przez opiekunów. Nie... Czasem dla zasady mówiłem „nie” tam, gdzie wypadało powiedzieć „tak”. Oceniam siebie jako trudną jednostkę, choć może jednak dosyć surowo. Na jednym z takich sejmików okazało się, że nie chodzę na religię, albo właściwie nie docieram, choć wychodzę z domu na zajęcia. Wraz z kolegami mieliśmy „wiele ważniejszych

spraw”, jak choćby grę w piłkę szmactankę na boisku szkolnym. Uprzejmie doniósł na nas ksiądz Stanoszek. Ciotki uchwałyły dla mnie karę. Ponieważ tak się niefortunnie dla nich złożyło, że słyszałem ich rozmowę spod okna domu, wiedziałem co mnie czeka (choć kary ciotka Lola wolała wymierzać z zaskoczenia). W końcu po długich godzinach spędzonych na spacerze, potem pod domem, nie wytrzymałem i wśliznąłem się do środka. Poszedłem na swoją kanapę. Owinąłem się szczelnie pierzyną, związując rogi pościeli i czekałem na karę. Ale kara nie nadchodziła. W końcu zasnąłem. Nad ranem przyszła Lola. Zazwyczaj okładała mnie patykiem. Pociągnęła za pierzynę ale nie udało jej się mnie odkryć (bo rogi były związane). Gdy zdziwiona zrobiła to ponownie, dała mi czas na ucieczkę pod łóżko, stojące obok mojej kanapy. Byłem chudy, więc zmieściłem się w swojej nowej kryjówce. Ale ciotka już nie byłaby w stanie tego zrobić. Najpierw krzyczała, bym natychmiast wyszedł spod łóżka. Potem, próbowała mnie dosięgnąć tym swoim patykiem, a ja uciekałem raz na jedną, raz na drugą stronę. Bieganina za mną tak ją zmęczyła, że w końcu zaniechała wymierzania mi kary. Innym razem udało mi się takowej uniknąć dzięki podobnej taktyce.

Koza, którą pasalem, zdenerwowała mnie i ją zbiłem. Ciotka to zobaczyła i postanowiła zbić mnie. Biegła do mnie ze swoim patykiem sprawiedliwości. Gdy tylko ją zobaczyłem, postanowiłem jej uciec. Ruszyła za mną w pogoń. Biegliśmy bardzo długo, aż w końcu wybrałem drogę pod górę, nieopodal cmentarza żydowskiego. Na jej szczycie byłem tak zmęczony, że padłem. Nie miałem już siły uciekać. Tak się jednak złożyło, że ciotka również zmęczyła się pościgiem za mną i padła niedaleko mnie. Nie była jednak w stanie wymierzyć mi batów. Znow mi się wtedy udało. Na dół wróciliśmy razem, w milczeniu. Bez bicia.

W momencie wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej, urwał się kontakt z moimi rodzicami. Wiele lat po wojnie, gdy spotkałem się z mamą, dowiedziałem się, jak potoczyły się ich losy. Z pewnością wspomnę o tym później.

Do tego mam w pamięci straszliwe obrazy z przemyślańskiego getta, które powstało po spędzeniu Żydów z okolicznych wsi. Z jednej strony opierało się ono o mur cerkwi, na którym bawiliśmy się z innymi dziećmi. Zobaczyłem kiedyś na własne oczy, jak niemiecki żołnierz roztrzaskał o mur małe dziecko. Innym razem esesman wyciągnął z bunkra w getcie starszego mężczyznę. Żyda oczywiście. Kiedy strzelił mu w tył głowy, noga mężczyzny podskoczyła. Ten koszmarny widok pozostał w mej pamięci do dziś. Okropności wojny, które dzisiejszy świat zna z opowieści, zdjęć i filmów, mnie było dane, na moje nieszczęście, oglądać z bliska. Gdy getto zostało „spacyfikowane”, Żydów kolumną wyprowadzono do lasu, w stronę Krosienka, gdzie wykopano duże doły. Gdy poszliśmy tam następnego dnia, po tym jak wszystkich rozstrzelano (bo dzieci muszą przecież być wszędzie i wszystko wiedzieć), nie było już widać zasy-

panych w rowach ciał, choć z jednej mogiły wystawała ludzka ręka.

Po pacyfikacji getta eksplorowaliśmy teren, który dotąd oglądaliśmy tylko zza płotu. Odkryliśmy mnóstwo bunkrów, którymi ludzie dostawali się do piwnic. Między innymi przez bradrurę (piekarnik) lub dziurę w parapecie. Czasem też podobne wejście można było znaleźć pod krzakiem sadzonym w skrzynce, który się odsuwało, a potem nasuwało na wejście. Kryli się tam, by uniknąć śmierci, szczególnie w dniu nieuchronnie zbliżającej się zagłady getta. Sądzę zresztą, że kilku jego mieszkańców przeżyło. Pamiętam także widok małego dziecka rozpaczającego na żydowskim cmentarzu. Po kilku godzinach już go tam nie było. Dziś wnioskuję, że jego historia mogła być lepsza niż by się wydawało, bo wiele bezdzietnych małżeństw przygarniało wówczas sieroty. Ja o sobiście pamiętam ten cmentarz od nieco innej strony. Rosła tam obradzająca w pyszne owoce grusza. Zupełnie nie przeszkadzało nam (mnie i moim kolegom) gdzie też ona rośnie...

Wkrótce niepokoje znów zaczęły narastać, a moja ciotka znalazła przyklejoną na drzwi do domu kartkę z wyrokiem, wydanym, jak sądzą przez sąsiada. Miała się wyprowadzić w ciągu dwudziestu czterech godzin. Oczywiście do takiego „nakazu” należało się zastosować. W przeciwnym razie rodzinę, która wbrew żądaniu pozostała w domu, czekała śmierć - co zresztą było wyraźnie napisane na owej kartce. W ciągu doby znaleźliśmy się w pociągu do Lwowa.

5. W okupacyjnym Lwowie

Ruszyliśmy do Lwowa, najbliższego dużego miasta, zważywszy że mieszkały tam trzy z moich ciotek: Marysia, Halina i Ania. Miasto nie zrobiło na mnie aż takiego wrażenia, jak mogłoby się wydawać. Oczywiście podobała mi się podróż pociągiem. Pamiętam tramwaje i wielkie domy, które faktycznie stanowiły dla mnie atrakcję. Ale niewiele poza tym. Zamieszkaliśmy przy ulicy Śnieżnej 7, na trzecim piętrze, niedaleko kościoła św. Marii Śnieżnej. Było to piękne, duże mieszkanie. Odkupiliśmy je od rodziny polsko-węgierskiej o nazwisku Koszany, która wraz z wybuchem wojny wyjechała na Węgry. Przypadło mi w udziale łóżko z baldachimem i ornamentową ramą, które zapadło mi w pamięć bardziej niż sam Lwów. Był to koniec 1943 roku. Ciotka nadal żyła z handlu. Miała przecież na utrzymaniu mnie i babcię. Za jej przykładem i ja postanowiłem pójść w ten rodzaj pracy. Jako dziecko, które poniekąd „wychowywała” wojna, dobrze sobie radziłem w warunkach, w których dzieci z miast w dzisiejszych czasach po prostu by „zginęły”.

Lwów w okresie wojny nie stanowił azylu. Było w nim równie niebezpiecznie, jak wszędzie. Do szkoły chodziłem w kratkę. Pamiętam, że do klasy wchodziło się przez okno, bo drzwi do szkoły były przywalone gruzami, najprawdopodobniej pozostałościami po synagodze. W tamtym czasie spalono kilka żydowskich świątyń. Jeszcze zanim przenieśliśmy się do miasta, sły-

szeliśmy też o aktach przemocy względem Polaków. Patrole ukraińskiej policji zatrzymywały wieczorami młodych ludzi, legitymowały i po utwierdzeniu się że mają do czynienia z Polakami, strzelały (by zabić). Problem został właściwie rozwiązany w ciągu dwóch tygodni, po tym jak AK wprowadziła na ulice swoje partole. Zamiast legitymacji, mężczyźni wyciągali broń i strzelali do Ukraińców. Ukraińskie łapanki w tym zakresie dobiegły końca. Mimo to wcale nie było bezpiecznie. Często po bombardowaniach pozostawały w mieście niewypały. Od razu okładano je workami z piachem, na wszelki wypadek. Same bombardowania były dość częste. Pamiętam dźwięk syreny. Czasem też schodziliśmy kryć się w piwnicach. Taka właśnie była lwowska rzeczywistość. Ale żyć trzeba było.

Swoją przygodę z handlem rozpocząłem od opracowywania strategii zdobywania towaru. Jeden z takich sposobów opracowałem pod kątem zaopatrywania się w pożywienie. Choć dziś już taki widok jest raczej niespotykany, pamiętam, jak przed sklepem z żywnością gromadził się tłum. „Koordynatorzy” kolejki wybierali z niego mniejsze grupy i wpuszczali je pod sklep. Potem należało jak najszybciej znaleźć się w środku, by zdążyć cokolwiek zdobyć, zanim towar się rozejdzie. Zawsze starałem się stanąć wewnątrz grupy. Kiedy tłumek ruszał do sklepu podskakiwałem i dawałem się ludziom dosłownie „wrzucić” do środka. Było to bardzo niebezpieczne. Ale za to opłacalne. Wraciałem do domu niczym bohater, nigdy z pustymi rękami.

A potem odkryłem Krakidały. Jeden z największych placów handlowych w ówczesnej Polsce. Podczas wojny stał się on szczególnie ważnym punktem wymiany towarów, których przecież wciąż brakowało. I ja znalazłem tam swoje miejsce. Nie wiem, skąd zdobyłem pieniądze na pierwszą partię papierosów marek Leventi i Symfonia. W każdym razie kupiłem je od stacjonujących w klasztorze siostr Benedyktynek żołnierzy węgierskich. Swoją drogą, całkiem przyjaznych względem Polaków. W tej życzliwości sprzedawali oni nawet broń akowcom. Ale wróćmy do mojego towaru. Papierosy pakowane były po sto sztuk w długich paczkach. Ja przekładałem je do mniejszych paczuszek, po dziesięć papierosów w każdej. Oczywiście, jako dziecko narażony byłem na to, że jakiś policyjny lub wojskowy patrol zarekwiruje mój towar. Toteż naszywałem sobie na wewnętrzzną część poły płaszcza długą kieszeń, do której wsuwałem oryginalnie pakowane papierosy. Miałem do nich łatwy dostęp, a jednocześnie nie rzucałem się w oczy. Pamiętam, że kiedyś nawet jakiś mężczyzna gonił mnie, zauważywszy, że handluję. Oczywiście, chciał mi odebrać moją własność. Niestety wojna rządziła się takimi właśnie prawami. Uciekłem mu, rzecz jasna.

W handlu byłem bardzo obowiązkowy. Wiedziałem, ile mogę wydać, żeby zostało mi na kolejną partię towaru. A że miałem dwanaście lat, to co mogłem „roztrwonić” pożytkowałem zgodnie z naturą dziecka. Kupiłem sobie kiedyś dwie kremówki. Pewnie dziś określiłbym je jako ohydne. Ale w czasach wojny, kupione za ciężko i w ekstremalnych warunkach zarobione pieniądze,

smakowały jak poezja. Dzięki takim drobnostkom czułem się szczęśliwy. A już moim największym marzeniem było mieć łyżwy. I tak pewnego dnia kupiłem sobie stare, zardzewiałe łyżwy, które przywiązywało się do butów. Wówczas na Łyczakowskiej 98 mieszkało moje wujostwo - ciotka Marysia i wujek Leopold. Było to bardzo ciekawe mieszkanie, bo zaadaptowane po hali produkcyjnej wytwórni konserw. Pomieszczenia mieszkalne zostały wydzielone parawanem. Gdybym miał to opisać współcześnie, powiedziałbym, że ich mieszkanie to niezagospodarowany loft. Wujek miał tam także mały warsztat ślusarsko mechaniczny. Często u nich bywałem. A ponieważ nigdy nie płaciłem za przejazdy tramwajem (szkoda mi było pieniędzy, które można było spożytkować lepiej) i wisiałem na stopniach lub na tylnym zderzaku, co było szalenie niebezpieczne, wujek postanowił mnie zaopatrzyć we własny środek lokomocji. Pamiętam Leopolda jako bardzo życzliwego i dobrego człowieka. Może nawet był jedną z najżyczliwszych mi osób z całej mojej rodziny. Zrobił mi wtedy hulajnogę. Ale nie taką zwykłą na drewnianych kołach... Zdobył dla mnie koła gumowe, jakby z małego roweru. Dołączył do nich solidną, metalowo-drewnianą konstrukcję i stworzył szybki, dający wiele radości użytkownikowi, środek transportu. Dzięki temu drogę z rogu Łyczakowskiej i Piotra i Pawła, aż do Sykstuskiej, przemierzałem tak samo szybko, co zatrzymujący się na czterech przystankach tramwaj. Bezpłatnie i w miarę bezpiecznie.

Wujek Leopold pracował także dla AK. Ponieważ był artystą w swoim zawodzie, przede wszystkim naprawiał broń. Pamiętam nawet, gdy wpadłem do niego z niezapowiedzianą wizytą. Robiłem to często, bo bardzo interesowała mnie jego praca. Akurat uzupełniał cyną przerdzewiały magazynek do pistoletu. Próbował go przede mną ukryć, ale nic to nie dało. I tak wiedziałem z czym mam do czynienia. Kiedy po latach, znów spotkaliśmy się, tym razem we Wrocławiu, wujek pracował dla wydziału Weterynarii Akademii Rolniczej i na zamówienie wykonywał bardzo skomplikowane i specjalistyczne instrumenty chirurgiczne. We Lwowie dobrze czułem się właśnie u niego. Niekoniecznie u ciotki, która życzliwością dorównywała cioci Loli. Wujek zajął się także i moimi ukochanymi łyżwami. Przez tydzień szlifował je i czyścił. Po jego zabiegach wyglądały jak nowe. Jeździłem na nich, szczęśliwy jak nigdy dotąd.

Na Łyczakowie, choć w innym miejscu, mieszkał także wujek Józef, który na początku 1940 roku przedostał się do Lwowa. Ponieważ czynnie działał w AK, za co groziła mu bezwzględna kara śmierci, w jego metryce urodzenia pojawiło się fikcyjne nazwisko panięńskie matki, Ostrowska. Także i miejsce jego urodzenia nie było prawdziwe. Zostało tak spreparowane, by nie można było tego sprawdzić. Chodziło oczywiście o to, by w razie wpadki nie powiązano go z dużą liczbą osób o nazwisku Utzig z okolic Kimirza, mieszkających w tym samym czasie we Lwowie. Prawdopodobnie wszyscy skończyliby (lub byśmy skończyli) na Krakidałach, powieszani ku przestrodze innych, „bawiących się”

w ruch oporu, w odwecie za ofiary po stronie niemieckiej. Sam pamiętam na placu targowym ciała powieszonych, dyndające na długich linach zaczepionych na balkonie jakiejś kamienicy. Ciała Polaków. Niestety, choć przeważnie przerażające, podobne widoki zaczynały mi powszednieć. Po raz kolejny odezwało się we mnie dziecko wojny.



Ciocia Maria z mężem Leopoldem Jagoszewskim.
Fotografia przedwojenna.

Z pobytu we Lwowie pamiętam też rzecz niezwykle ważną. W pewnym momencie propaganda niemiecka ujawniła odkryte groby w Katyniu. Był rok 1943. Z porażek na froncie, dla Niemców ważne było ujawnić zbrodnie ludobójstwa leżące po stronie Związku Radzieckiego. Odciągali tym samym uwagę od własnych rąk, zbroczonych krwią niewinnych ofiar. Drukowano wtedy nazwiska osób znalezionych w Katyniu, zdjęcia odkrytych

przy ciałach dokumentów oraz zdjęcia z ekshumacji, jak się okazało, polskich oficerów. Miało to też wzbudzić wdzięczność wobec Niemców. Nikt nawet nie miał wątpliwości co do tego, że mordów dokonali Rosjanie. A to dlatego, że ich okrucieństwo znano już z historii objętego wojną Lwowa. W przejętym przez Niemców więzieniu przy ulicy Łąckiego, znaleziono ciała zamordowanych więźniów, otrutych spalinami samochodowymi, a następnie zamurowanych w celach. Te wydarzenia miały miejsce zanim jeszcze przybyłem do Lwowa, w 1941 roku. Łatwo więc znów dojść do wniosku, że najbardziej represjonowani na Kresach wschodnich byli właśnie Polacy. Znienawidzeni przez Ukraińców, Niemców i Rosjan, od początku do końca wojny narażeni byli każdego dnia na śmierć.

6. Znad Wisły do Wieliczki

Kiedy po raz kolejny front wojenny przesunął się niebezpiecznie w stronę Lwowa, w maju 1944 r., uciekliśmy na kilka miesięcy do Szczucina, miasteczka nad Wisłą położonego na północ od Tarnowa. Wyjechaliśmy tam razem z Tosią i ciocią Miłą. Mieszkaliśmy w drewnianym domku, około dwustu metrów od rzeki. Naprzeciwko mieścił się monopol tytoniowy. Ze Lwowa pojechaliśmy tam pociągiem towarowym, wiozącym do Niemiec skradzioną z Kresów glebę

(czarnoziem).

Był lipiec. W oddali zobaczyłem, że wojska niemieckie w dużym po- płochu uciekały gdzieś z drugiego brzegu Wisły. Po południu wszystko się us- pokoiło. Wyszedłem, żeby sprawdzić dlaczego. Stałem na drodze prowadzącej do mostu. Nagle rozległ się huk, a most stanął w płomieniach. To pociski artyler- ryjskie wybuchały jeden po drugim niedaleko ode mnie. Rzuciłem się do ucieczki w stronę domu, w którym mieszkaliśmy, za którym upadłem tuż pod oknem. Szyby z rozbitych okien posypały się na mnie. W oddali zobaczyłem gejzery ziemi po wybuchach pocisków. Pamiętam, że pocisk spadł na sąsiedni dom, który od razu zapłonął. Pod wieczór przenieśliśmy się do budynku szkoły, znajdującej się około dwóch kilometrów od naszego tymczasowego domu. Na miejscu do- wiedziałem się, że Rosjanie przesunęli front około dwieście kilometrów na zachód i właśnie zatrzymali się na Wiśle.

Od tej pory zdarzało się, że w nocy do zabudowań (szkoły i innych), podchodzili wywiadowcy radzieccy, a w dzień przychodziło niemieckie wojsko. Odnosiło się wrażenie, że nasz nowy „szczuciński dom”, znalazł się między frontami. Do tego coraz trudniej zdobywało się jedzenie. Kilkakrotnie wracałem do domu, w którym mieszkaliśmy na początku. Kiedyś przyniosłem stamtąd dwa króliki. Moje króliki, które hodowałem wcześniej. Jednak o uczuciach, takich jak żal czy smutek nie było mowy. Ludzie byli głodni. Innym razem upolowałem pro- siaka, biegającego poza gospodarstwem (bo gospodarstw nie było). Największy problem sprawiło mi zaciągnięcie go do szkoły. Prosiak szedł w jedną stronę, a ja w odwrotną. Do tego po okolicy należało poruszać się cicho. Choćby dlatego, że ja także mogłem zostać „upolowany”. Przez snajpera. W końcu wykorzystałem pasek od spodni, który zacisnąłem prosiakowi na tylnej nodze. Mokry i sterany dowlokłem zwierzę na miejsce, ku uciechu wszystkich lokatorów szkoły. Innym znów razem udało mi się złapać gęś (lub kaczkę, ale raczej gęś, bo miała długą szyję). Z ptakiem było łatwiej, bo złapałem go za tę szyję i musiał iść tam, gdzie ja. Została ona zabita przeze mnie osobiście. Musiałem pozbawić ją głowy. Bar- dzo, bardzo to przeżyłem. W międzyczasie doniesiono też, że w gorzelni w cyst- ternie znajduje się spirytus gorzelniany. Z wiadrem obróciłem w tę i z powrotem parę razy. Potem znalazłem kilka butelek i poporcjowałem alkohol. Był on to- warem deficytowym i doskonałym na handel wymienny.

Niedługo później jednak po raz kolejny musieliśmy uciekać. Na prze- łomie czterdziestego czwartego i piętego, na kilka miesięcy, naszym domem stała się Wieliczka.

Mieszkający w zalewanych falą uchodźców miastach ludzie, udostęp- niali pokoje w swoich domach, zazwyczaj na rozkaz urzędnika. W takim właś- nie niedużym pokoju przyszło nam wtedy zamieszkać. Było nas pięcioro: babcia, ciocia Lola, ciocia Halina z wujkiem Ludwikiem i ja. Swoją drogą, nie mam pojęcia jak Halina i Ludwik Osławscy znaleźli się w naszym towarzystwie.

W każdym razie Tosia, z wujkiem Kazikiem i ciocią Milą wyjechali już do Krakowa.

W końcu wróciłem do szkoły. Warunkiem przyjęcia do gimnazjum było ukończenie szóstej klasy szkoły podstawowej. Trudno powiedzieć, ile w ogóle ja skończyłem klas. Do szkoły chodziłem, delikatnie ujmując, rzadko i do tego z długimi przerwami. Ale z racji ciężkich czasów uczniom takim jak ja działacze oświatowi „szli na rękę”. Przyjęto mnie do owej szóstej klasy, którą ukończyłem właśnie tam. Potem jeszcze dojeżdżałem z Krakowa do podstawówki w Wieliczce, przeżywając trudności podróży, uczipiony schodów pociągu towarowego. Do małego miasta pociąg raz dojechał, a raz nie. Czasem trzeba było dojechać kilka kilometrów dalej, by dostać się do Krakowa. Nie wspominając o tym, że rzadko płaciłem za bilet, jak to ja. Potem sprawiłem sobie rower i dzielnie na nim docierałem do szkoły.

Pamiętam też, że w Wieliczce zaprzyjaźniłem się z synem piekarza Czarnoty. Takich ludzi można było za czasów wojny nazwać miejscowymi arystokratami. Prowadzili interesy, które w owym czasie były szczególnie intratne. Młody Czarnota musiał mnie bardzo lubić, bo bywałem u niego w domu na podwieczorkach, a jego rodzice nawet mnie „tolerowali”. Poniekąd zaprzyjaźniłem się z nim z premedytacją. Po jakimś czasie zacząłem podchwytywać drobne prace w piekarni. Oczywiście mi za to nie płacono. Piekarze byli nastawieni przyjaźnie wobec mnie. Często drzemałem w pomieszczeniu, w którym stał piec ogrzewany drewnem, w ciepłe i w towarzystwie miłych zapachów. Później nauczyłem się też robić bułki. Rano zносиłem pierwszą partię do sklepu (w worku na plecach). Za swoją pracę w piekarni otrzymywałem od Czarnoty czarny chleb, duży, ponad dwukilowy. Nosiłem go mojej rodzinie, którą przyzwyczailem niemal do tego, że czekała z rana na śniadanie, które miałem zapewnić. Nasze mieszkanie i piekarnia znajdowały się bardzo blisko centrum. Pamiętam takie zdarzenie, jak na rogu rynku, w środku stycznia, stał niemiecki żołnierz. Jego głowa i policzek były zakrwawione, nie miał też koszuli a jedynie samą marynarkę. Jakiś czas później zabrano go stamtąd. Nie wiem, co się z nim stało, ale zapewne został rozstrzelany. Tak właśnie wyglądało „wyzwolenie” Wieliczki. Czuło się nadchodzący koniec wojny, szczególnie, że Kraków także został wyzwolony spod niemieckiej okupacji. Z tym „wyzwoleniem” chodziło o to, że Kraków i pobliskie miasta przeszły pod władanie Związku Radzieckiego, a front przesuwał się dalej. Wraz z końcem wojny na tych terenach Osławscy wyjechali. Póki co, nie wiedziałem dokąd.

Starszy pan Czarnota był „lewicujący” (teraz to wiem, z perspektywy czasu). Nigdy nie wierzył w moje historie o okrucieństwie Rosjan na Kresach. Był wręcz zgorszony moimi opowieściami, choć to zawsze on pierwszy poruszał ten temat. I było tak aż do momentu, gdy do Wieliczki weszli Rosjanie. Wpadali wówczas do domów i płałowali co się dało. Ten los także nie ominął Państwa

Czarnotów. Jedno z pomieszczeń ich domu było zamknięte, a stary piekarz nie chciał go otworzyć. Żołnierze wyłamali drzwi i odkryli za nimi spiżarnię. Wyszprzątała ją do ostatniej spleśniałej pajdy chleba. Gdy wyszli, pan Czarnota nieśmiało zagadał do mnie:

- Wiesz Poldziu? Ja ci nie wierzyłem...

Od tej pory zdecydowanie zmienił poglądy polityczne. Ale nadal mnie tolerował. Dlatego mogłem spać na nagrzanym desce nad piecem i nosić rano bułki do sklepu. Kiedyś nawet wyszedłem z pierwszą partią, bladym świtem i od razu wywołałem salwę śmiechu. Nie wiedziałem dlaczego, w każdym razie zawtórowałem. Potem dopiero okazało się, że piekarze wysmarowali mnie sadzą i mąką, kiedy nieświadomy, jak zwykle spałem w oczekiwaniu na wypieki.

Po incydencie z żołnierzami pan Czarnota dostał polecenie pieczenia chleba dla wojska radzieckiego. Wówczas dostawał do wypieków mąkę nieoczyszczoną z łusek. Miało to wymiar zdrowotny ale także „objętościowy”. Jednak po przesianiu jej przez sito, mąka ta nadawała się idealnie na wypieki z „wyższej półki”. Któryś ze starszych piekarzy rzucił, że powinniśmy sobie upiec coś lepszego. Zaczynał się owocowy sezon i pojawiły się pierwsze jabłka. Od razu powiedziałem, że widziałem piękne papierówki. Oczywiście na posesji sąsiada. Piekarze podpuścili mnie, żeby zdobył kilka na wypieki. Nie była to dla mnie pierwszyna po wypadach do ogrodu przy plebanii w Przemyślanach. Dlatego bez zastanowienia zgodziłem się „pożyczyć” owoce od sąsiada. Może koło północy lub godziny pierwszej zacząłem zbiórkę – tuż pod oknami sypialni właściciela posesji. Żeby tego było mało, wysłano mnie z wiadrem, z którym zawsze wypełnionym do połowy, wracałem kilka razy. Piekarze w tym czasie piekli placki w dużej brytfannie, szerokiej na 50 i długiej na 70 cm. Wypiek wyglądał wybornie. Myślę, że mógł to nawet potwierdzić sam właściciel piekarni, który rano zobaczył nasz wypiek. Najpierw popatrzył na placek z rumieniącymi się z wierzchu jabłkami, a potem na mnie. Oblał mnie zimny pot. W tamtym czasie za wiele drobnostek można było stracić życie. W tym za kradzież, szczególnie że mąka była własnością wojska. Była to kradzież mienia Związku Radzieckiego. A to oznaczało rozstrzelanie. Nie tylko moje życie było w niebezpieczeństwie, ale przede wszystkim Czarnoty. Dlatego piekarz „nie zauważył” naszego wypieku.

W Wieliczce i Szczucinie zaczęło się pewne rozprężenie. Mogłem zacząć myśleć o dorabianiu. Z początku było trudno. Zaraz po „wyzwoleniu” ludzie rabowali mienie wojskowe, rozbijali magazyny, wynosili co się dało. Każdy kradł, jak to po przejściu frontu. Ja także, jako dzieciak, mogłem utracić wcześniej zdobyty towar, bo byłem słabszy. Ludzie szukali tylko okazji by zdobyć cokolwiek do jedzenia lub ubrania. Nawet ja dałem się ponieść nowym zwyczajom. Pewnego dnia, po rozbiciu magazynu, stałem się dumnym zdobywcą kilku puszek pięknego, klarownego oleju. Mienił się, miał nienajgorszą konsystencję. Ale pos-

tanowiliśmy nie degustować go osobiście, by nie ryzykować zdrowiem, czy życiem. Ciotka kazała mi dać go do spróbowania psu. Po pewnym czasie zjawił się i kot, który także chętnie zdołałby zjeść olej. Czekaliśmy. Po pewnym czasie pies nadal żył i miał się dobrze, kot także. Olej został więc zakwalifikowany przez znawców z mojej rodziny jako zdatny do spożycia. Postanowiliśmy nasmażyć sobie na nim placków ziemniaczanych. Niestety potem okazało się, że musiał to być olej rycynowy... Nie muszę chyba mówić, na podstawie jakich skutków to odkryliśmy.

Oczywiście, w Wieliczce także nadal zajmowałem się handlem. Wychodziłem z takiego założenia, że handel to jedyna droga by szybko i pewnie zarobić. Wciąż interesował mnie „przemysł tytoniowy”. Tym razem za towar służyły mi kamyczki do zapalniczek. Znowu nie pamiętam, w jakich okolicznościach zdobyłem pierwszą kwotę na zakup stu kamyczków. Wiem, że jeździłem po nie do Krakowa, na tereny po getcie. Znalazłem dla siebie mały stolczyk i niemal od razu sprzedałem wszystko. Czysty zysk. Poza kamyczkami handlowałem też keksami. Z tego co pamiętam, miały kształt serduszek i były pokryte lukrem. Sprzedawałem swój towar z ogromnym powodzeniem przez dłuższy czas. Aż do momentu, kiedy zostałem oszukany. Najpierw naciągacz sprzedał mi kamyczki, które okazały się być imitacją. Nie dawały iskry, co przecież jest głównym zadaniem mechanizmu zapalniczki. Wtedy obraziłem się na przemysł tytoniowy i właściwie na handel też, na jakiś czas. Potem jeszcze próbowałem szczęścia w grze „trzy karty”. Pierwsza wygrana wzmogła apetyt. Oczywiście przegrałem każdą kolejną rozgrywkę i straciłem sporą sumę pieniędzy. Od tej pory już nigdy, przez całe życie, nie zagrałem w nic o pieniądze.

Kiedy na ziemiach wyzwolonych usankcjonowała się jako taka władza polska i społeczne zawieruchy nieco ustały, udaliśmy się do kopalni soli w Wieliczce na wycieczkę szkolną. Pamiętam, że na dół jechaliśmy windą, sto dwadzieścia metrów. Zwiedziliśmy jezioro Piłsudskiego i kaplicę świętej Barbary. Wizyta w kopalni zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Wiele lat później znowu odwiedziłem tę kopalnię i nawet nie wiem, która z obu wycieczek bardziej zapadła mi w pamięć. Z tej pierwszej ciekawy był także powrót na powierzchnię, tym razem po schodach. Ale cóż to dla młodzieży te kilkaset stopni? Gdy byłem w Wieliczce ponownie, widna jeździła już w obie strony.

7. Upadek do fosy

Po kilku miesiącach pobytu w Wieliczce moja rodzina zdecydowała o przeniesieniu się do Krakowa. Był on najbliższym położonym miastem, w którym mogłem na przykład rozpocząć dalszą naukę. Zresztą, przebywała tam już część mojej rodziny. Osławscy zdecydowali się nie przeprowadzać z nami. Gdy się przenosiliśmy, zamieszkali osobno i utraciłem z nimi kontakt.

Lola, jako bardzo obrotna osoba, zatroszczyła się o mieszkanie dla nas.

Trzeba było ogromnej inwencji i sprytu, by zdobyć dla siebie kąt. Szczególnie przez wzgląd na zalewającą miasto falę uchodźców. Zamieszkaliśmy na ulicy Topolowej 40, w lokum należącym do kobiety o nazwisku Żmuda, właścicielki kamienicy. Z początku w trójkę, z babcią i ciotką, zajmowaliśmy kuchnię mieszkania. Ale wiedzieliśmy, że po drugiej stronie korytarza ma się zwolnić służbówka (jednopokojowa kliteczka z małą fajerką i wodą w przedpokoju oraz niewielkim pokoikiem dalej). Wkrótce przeprowadziliśmy się do samodzielnego lokalu przy Topolowej 40, mieszkania pięć. Kamienicę zamieszkiwało wiele różnych osób. Część z nich, jak my, przeniosła się do Krakowa w wyniku perturbacji wynikających z działań wojennych. Mieszkanie obok, sądzę, że jeszcze mniejsze, zamieszkiwała pani Lasota z córką. Kobiety przyjechały spod Warszawy. Dziś może się to wydawać niepojęte, ale pani Lasota utrzymywała się z karmienia wszy, własną krwią. Służyło to oczywiście medycynie. W tym skomplikowanym procesie rozpoczynającym się od „wypasania” wszy na żywym organizmie, powstawała szczepionka na dur brzuszny. Kobieta pokazała nam kiedyś, może nie sam proces karmienia, ale klateczki, w które zamykało się insekty, a potem przystawiało się w całości do skóry. Kobieta karmiła je na własnych udach, na których miała czerwone placki wielkości pudełka od zapalek. Inną naszą sąsiadką była pani Krzyżanowska, z domu Ferenc, nauczycielka historii. Jej mąż musiał być księgowym, bo do dziś widzę go, jak zakłada specjalne rękawy, które sprawiały, że jego marynarka nie przecierała się na łokciach, ciągle opierających się o blat stołu. Moja nowa sąsiadka odegrała w moim życiu niezwykle istotną rolę, o czym opowiem później.

Do Krakowa przeprowadziliśmy się, kiedy jeszcze kontynuowałem naukę w szkole podstawowej w Wieliczce. Pamiętam, że codziennie dojeżdżałem na lekcje. W późniejszym czasie dorobiłem się roweru i kilkanaście kilometrów w jedną, a potem tyle samo w drugą stronę, bez względu na pogodę, przemierzałem, by mozolnie zdobywać przepustkę do gimnazjum.

Ciotka zagospodarowywała lokum na starą modłę, każdy centymetr powierzchni, na której mieszkała. Na podwórzu kamienicy, w której znajdowało się nasze lokum, była oficyna oraz komórki. Jedna z nich przypadła w udziale mojej rodzinie. Dlatego ciotka postanowiła trzymać w niej kozę. Oczywiście to mi przypadło w udziale jej wypasanie. Już wtedy zaczynałem czuć, że koza prowadzona przez miasto nie dodaje mi splendoru. Ale ciotka była surowa, a ja ją szanowałem, więc codziennie po szkole szedłem z kozą na pobliski fort przy ulicy Mogiłskiej, dziś już nieistniejący. Czasem spotykałem tam swoją kuzynkę, z którą bawiliśmy się dla zabicia czasu. Jedno z takich spotkań pamiętam bardzo szczególnie. To był może marzec albo kwiecień 1945 roku. Anuła i ja bawiliśmy się w berka. Jakby nie patrzeć, w niebezpiecznym miejscu... W pewnym momencie dobiegła do mnie i lekko dotknęła, ale na tyle nieszczęśliwie, że straciłem równowagę i spadłem z fortu prosto do fosy. Osiem metrów w dół, dwa piętra.

Prosto na ręce i nogi, jak kot. Pamiętam, że jakiś wojskowy podniósł mnie i zabrał na Kopernika do szpitala. Na miejscu okazało się, że mam złamane kości przedramion obu rąk i otwarty staw kolanowy. Ręce wsadzono mi w gips, a ranę w nodze wyczyszczono i założono szwy. Ponieważ siedziba Czerwonej Chirurgii [1] była niemal w całości zniszczona w wyniku działań wojennych, zostałem położony na wielkiej sali z widokiem na ogród botaniczny. Kolejnego dnia dostałem bardzo wysokiej gorączki. Orzeciono, że grozi mi amputacja nogi. Ranę w kolanie ponownie otwarto i oczyszczono rywanolem, tak sędzę, dziś już wiedząc, jak wygląda ów środek. Zabrano mnie też z wielkiej sali z pięknym widokiem i przeniesiono do tymczasowej siedziby chirurgii, w baraku. Budynek składał się w zasadzie z dwóch sal. Prawa była męska, a lewa żeńska. I mnie naturalnie, jako dziecko, położono na sali dla... kobiet. Płukanie rany, wtlaczanie rywanolu i wyciąganie go wielką strzykawką było potwornie bolesne. Na całe szczęście rana w końcu się zasklepiła i przestała mi grozić amputacja. Usztywnienie kończyny jednak spowodowało, że po niespełna dwóch miesiącach od zdjęcia szyny, nie byłem już w stanie zgiąć nogi w kolanie. Ale mój wyjątkowy, specyficzny anioł stróż, którego często przywołuję w rozmowach z ludźmi, zaznaczając, ile ma do mnie cierpliwości, postanowił nie dać za wygraną i przywrócić mi sprawność w nodze. Dzieci przecież nie mogą usiedzieć w miejscu, szczególnie gdy od paru tygodni przebywają w szpitalu. Ja oczywiście nie odstawałem od reszty. Wspominam, jak z młodymi pacjentami szalałem, lawirując między łózkami. W pewnym momencie, w przypływie dziecięcego szaleństwa, wskoczyłem na jedno z nich. Następnie zeskoczyłem z niego w taki sposób, że mój anioł stróż, w nieopisanym i do końca życia niezapomnianym bólu, uruchomił mi zesztwniały staw. Dzięki temu do dziś zginam kolano, choć rzecz jasna nie tak sprawnie jakbym mógł. Ale wówczas, kiedy je uruchomiłem, świeżo zagojony staw spuchł. Ponownie dostałem gorączki. Oczywiście nie przyznałem się, jak do tego doszło. W każdym razie zarządzeniem docenta Stanisława Nowickiego, moja noga miała zostać wsadzona w gips, po czym chciano już mnie wypisać. Gdyby tak było, mój staw ponownie zostałby usztywniony i być może już nigdy nie funkcjonowałby normalnie. Mój anioł stróż znów wkroczył do akcji. Tym razem zesłał mi osobę młodego lekarza, doktora Stanisława Kubickiego. Ponieważ to były lata czterdzieste i jeszcze nawet nie ogłoszono oficjalnego zakończenia wojny, nikt nie przywiązywał szczególnej uwagi do ilości pacjentów na oddziale (chyba, że ten się przepełniał). W każdym razie, po zaleceniach docenta, doktor Kubicki powiedział do mnie:

- Poldziu, ciebie jutro tu nie ma. Żadnego gipsu.

Co oznaczało ni mniej, ni więcej, jak „uciekaj”. Zgodnie z jego wypowiedzią, spakowałem się po cichu i wyszedłem ze szpitala. Na „własne żądanie”.

To wydarzenie zaowocowało ciekawą i budującą znajomością z dok-

torem Kubickim. Postanowił się mną zaopiekować, czym nieco rekompensował mi brak ojca. Najbardziej wiążącym się z nim wspomnieniem jest moment, w którym w maju 1945 roku, zaraz po moim wyjściu ze szpitala, ogłoszono koniec II wojny światowej. Przebywałem wtedy u niego w domu. Pamiętam, że nagle usłyszeliśmy straszny huk. Nie wiedzieliśmy o co chodzi. Wyszliśmy na zewnątrz. Wtedy zobaczyliśmy rosnący, wiwatujący tłum. Ludzie wylegali na ulice, przytulali się i cieszyli. Wyciągali ukrytą w mieszkaniach broń i strzelali w powietrze. Zrozumieliśmy, że nastął pokój na świecie. Choć dla Polski zaczynały się wtedy ciężkie czasy.

Doktor Kubicki bywał częstym gościem pań Sokołowskich, których mieszkanie znajdowało się na Salwatorze w Krakowie. Ja natomiast, jako dziecko wojny, nie miałem zielonego pojęcia o zasadach *savoir vivre*. Pamiętam, że doktor Kubicki zabrał mnie kiedyś na jeden z takich wykwinnych, szlacheckich obiadów. Celowo używam formy panie Sokołowskie, ponieważ w owym domu mieszkały cztery kobiety i jedna dziewczynka: babcia, matka, córka i dwie ciotki matki. Takiego szkolenia z kindersztuby nie miałem nigdy wcześniej i nigdy potem. Zanim zaczęliśmy obiad, kazano panience Sokołowskiej zabrać mnie do ogrodu na truskawki. Pamiętam do dziś, że były pyszne. Po powrocie usiedliśmy w jadalni przy dużym, ośmioosobowym stole. Nigdy też nie widziałem tak pięknej zastawy. Ale to wszystko było jeszcze niczym. Prawdziwe przerażenie dopadło mnie gdy zobaczyłem nie-naturalną ilość sztućców. Wiedziałem przecież do czego służą łyżki, nóż i widelec. Ale dwie łyżeczki, dwa dodatkowe widelce i coś na kształt rulonu, z nasuniętym zdobnym pierścieniem, to zdecydowanie za dużo... Rozpoczął się obiad. Z tego, co pamiętam, przeżegnaliśmy się zanim weszła gosposia i nałaga zupę. Dotąd wszystko szło dobrze. Łyżka nie stanowiła dla mnie problemu. Postanowiłem po prostu podejrzeć, co robią pozostali obiadujący. Dzięki temu



Autor jako uczeń gimnazjum.
Kraków, zima 1947/1948 r.

bez wpadek przeszedłem przez drugą część obiadu, choć do tej pory wydaje mi się, że wciąż czuję zimny pot spływający po moim kręgosłupie na samą myśl o tym posiłku (który w końcu był miłym przeżyciem, acz wymagającym). Mój wzrok wciąż przykuwał niepokojący przedmiot o rurkowatym kształcie, leżący obok. Wiedziałem, że kiedy dojdzie do tej części, mogę być spalony. Po kompocie nie przestawałem myśleć o tym, co ma nastąpić. Ale wtedy po raz kolejny zdarzył się jeden z „małych cudów” w moim życiu.

Gospośnia pań Sokołowskich podeszła do najstarszej kobiety w rodzinie z miską wody. Starsza pani wyjęła rulon z pierścienia. Okazał się on być serwetą. Starsza pani zamoczyła w misie ręce i wytarła je w serwetę, którą przewiesiła przez przedramię służącej. Po niej zrobili to wszyscy siedzący przy stole, w tym ja. Na końcu. Wtedy już dokładnie wiedziałem, co należy zrobić i byłem spokojny. Do dziś uważam, że ten pierwszy ale nie ostatni obiad u pań Sokołowskich był jednym z najważniejszych wydarzeń w moim życiu, które ukształtowały moją kulturę osobistą.

W wyniku ukończenia przeze mnie szkoły podstawowej (najpewniej awansem, ponieważ większość końca roku szkolnego spędziłem w szpitalu), zostałem zapisany do gimnazjum przy ulicy Sienkiewicza 2 w Krakowie. Droga do szkoły nie była tak ciężka, jak kilometry przemierzane codziennie do podstawówki. Naturalnie nie było to też zaraz obok. Bez względu na rodzaj pojazdu, także po mieście, podróżowałem bez biletu, na stopniach lub zderzaku tramwaju (mimo tego, że Lola dawała mi pieniądze na transport, których szkoda mi było wydać). Czasem nawet mnie złapano, ale nigdy nie miałem z tego powodu kłopotów. Odnoszę wrażenie, że ludzie wówczas to wszystko „rozumieli” i przymykali oko na nastolatka próbującego oszczędzić. Droga wiodła przez kilka przystanków, od ulicy Rakowieckiej do Dworca Głównego. Stamtąd podążałem już pieszo, Plantami, potem przez Bramę Floriańską. Czasem zaglądałem do kościoła Paulinów, żeby wyciszyć się nieco przed nauką (lub uciec od niej po prostu). Wychodziłem z założenia, że skoro się nie uczę, to chociaż zajrzę do kościoła w poszukiwaniu cudu. To, czego z pewnością brakowało mi, jako dziecku kształtowanemu przez dramatyczne czasy wojny, to więzi emocjonalnych i zdolności do przyswajania wiedzy. Niestety, mimo gorliwych modłów w połowie roku zostałem przeniesiony do innego gimnazjum, ponieważ moja edukacja stała pod wielkim znakiem zapytania. Stało się tak dlatego, że w moje życie wkroczyła pani profesor Krzyżanowska. Będąc moją sąsiadką, słyszała pewnie od ciotki Loli, że uczę się niedostatecznie, bo taki stopień najczęściej gościł w moim dzienniczku. Dla mojego dobra, postanowiła interweniować. Nie tłumacząc mi dlaczego, zresztą w tamtym czasie niewiele mnie to obchodziło, za jej sprawą zostałem przeniesiony do innego gimnazjum, w którym owa pani profesor uczyła historii. Moja droga do szkoły uległa niewielkiej zmianie. Przeważnie nadal podążając Plantami, dochodziłem do ulicy Szewskiej, a następnie docierałem do Stu-

denckiej, gdzie znajdowało się gimnazjum nr 8, im. Witkowskiego. Zmienił się natomiast diametralnie mój system nauki. I wcale mi się to na początku nie podobało... Pani Krzyżanowska miała bowiem od tej pory, wszystkie informacje na temat moich poczynąń z pierwszej ręki, z pokoju nauczycielskiego. Skończyło się wagarowanie, gorliwe modły w paulińskim zborze i zaczęła się prawdziwa nauka. Nauka przyswajania wiedzy.

Zmiana gimnazjum nie wywołała u mnie żadnego szczególnego sentymentu. Częste przeprowadzki, brak przyjaźni, ciągłości w nauce i odwieczna pogoń za podstawowymi potrzebami (jak jedzenie czy ubranie) sprawiły, że do momentu zmiany szkoły, nie czułem aż tak bardzo, jak odległy jestem od właściwej ścieżki rozwoju kulturowego, emocjonalnego i edukacyjnego. Nie miałem zbyt wielu kolegów, a jeśli już zawierałem przyjaźń, upatrywałem w niej korzyści dla siebie. Jednak to wszystko stopniowo się zmieniało. Właśnie w Krakowie nastąpił wielki przełom w toku mojego myślenia i postępowania. Pani Krzyżanowska miała duży dar przekonywania. Zaopiekowała się mną i to jej właśnie zawdzięczam początek nowego życia, w innym, nieznanym mi dotąd świecie.

Cdn.

*1 Stefan Bodak został rozstrzelany przez NKWD 26.06.1941 r. w więzieniu łoczowskim. Dop. J.W.

[1] Czerwona Chirurgia - nazwa oddziału chirurgicznego oraz zespołu chirurgów, związanych z UJ, działających w Krakowie przy ul. Mikołaja Kopernika 21.

Mieczysława Piotrowska

Popielaty wiersz

Popielate niebo, popielaty wieczór,
popielatą chmurą noc za sobą wlecze,
niewyraźny obraz w obojętnej szybie,
jakaś barwa siwa jak na łusce rybiej,
wieczór bez kolorów, ale przecież za to
zsypuje znużone gwiazdy
w spopielające lato...

Wiersz pochodzi ze zbioru „Supelki tęsknoty” ofiarowanego redakcji biuletynu przez Romanę Drobińską.

Wybrane teksty z Dziennika Urzędowego wydawanego w Przemyślanach (cz. II)

Do Pp. Prowadzących metryki izraelskie w Przemyślanach, Dunajowie, Świrzu i Glinianach. Celem zaklauzulowania oryginalnych ksiąg metrykalnych z duplikami przedłożonymi Starostwu wzywam p. Prowadzących metryki izraelskie by do dni 8 zjawili się w Starostwie z oryginalnymi księgami będącymi w przechowaniu prowadzących metryki izraelskie do zaklauzulowania. Równocześnie polecam Pp. Prowadz. metryki izr. by do dni 14 sporządzili duplikaty metryk izraelskich od roku 1919 i przedłożył w powyższym terminie Starostwu do zaklauzulowania. Starosta: Marynowski. (nr 7)

+++++

L. 16404/W	Przemyślany, dnia 1. 6. 1926.
Do <i>wszystkich Zarządów gmin w powiecie.</i>	
Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego podejmuje w roku bieżącym siłami nauczycieli szkół powszechnych spis dzieci 13. roczników.	
Spis taki jest niezbędny dla ustalenia liczby, dzieci zmniejszonych roczników wojennych i powiększonych roczników powojennych.	
Spis ma się odbyć w terminie między 31. maja a 5. czerwca b. r.	

+++++

Wykaz rozmieszczenia ogierów licencjonowanych w powiecie przemyślańskim. W kolejności, nazwisko właściciela, miejscowość i maść konia. Piotr Sulima, Laszki Królewskie, gniady. Stefan Harbuz, Gliniany, gniady z łysiną. Wasyl Kindra, Wyżniany, kasztan z gwiazdką. Mikołaj Prociów, Kurowice, gniady. Dr Jan Gerstman, Połtew, kasztan siwy. Adam Tyszkowski, Chlebowice Świrskie, szpak żelazisty. Józef Tyszkowski, Chlebowice Świrskie, gniady. Józef Tyszkowski, Chlebowice Świrskie, kasztan z łysiną. Mikołaj Kohut, Wojciechowice, skaro-gniady. Jan Widocki, Wojciechowice, kasztan z chrapką. Łukasz Maluta, Tuczne, gniady. Dominik Dyczkowski, Brzuchowice, kasztan z łysiną. Dmytro Kostyrka, Brzuchowice, kasztan łysy. Atanas Bodnar, Krosienko, kasztan. Ks. Maksym Panasiuk, Uszkowice, kasztan z łysiną. Jan Balicki, Wołków,

skaro-gniady. Osias Kupferschmied, Wiśniowczyk, gniady z strzałką. Antoni Duch, Borszów, brudny kasztan. Ołeksza Kostyszyn, Błotnia, kasztan, duża ły-sina. Michał Dabski, Baczów, kosztan z gwiazdką. Ozjasz Perlmutter, Biłka, kasztan z gwiazdką. Rozalia Machnerowa, Poluchów Mały, mały szpak żel. Wasyl Stecki, Korzelice, kasztan z chrapką. Jakub Hahn, Brzuchowice,, kasztan z chrapką i strzałką. (nr 27)

+++++++

Do wszystkich Posterunków Policji Państwowej w powiecie. Na skutek zażalenia koncesjonowanych majstrów murarskich w Przemyślanach polecam Post. Pol. Państw., aby przy każdej sposobności patrolowania w rejonie swoim zwracały uwagę, czy prowadzący budowę majstro-murarscy posiadają koncesje na murarstwo, a w braku koncesji donosiły takich nieuprawnionych majstrów do Starostwa, celem ukarania za nieuprawnione wykonywania przemysłu murarskiego.

Zaznaczam, że niniejsze zarządzenie odnosi się do budowli o ważniejszych konstrukcjach a nie dotyczy budowy wiejskich, wykonywanych przez ludność wiejską przy pomocy własnych domowników względnie sąsiadów. W razie stwierdzenia prowadzenia budowy przez osoby nie mogące się wykazać koncesją lub innymi dostatecznymi dokumentami należy budowę wstrzymać i donieść Starostwu. Za Starostę: Skałkowski. (nr 32)

+++++++

Do
wszystkich Zwierzchności gminnych w powiecie.

Wobec spodziewanej z wiosną br. masowej rójki chrząszcza majowego zajęły się Urzędy wojewódzkie we Lwowie i Stanisławowie zorganizowaniem akcji tępienia tego groźnego szkodnika, rozesłali do wszystkich Starostw i Wydziałów powiatowych w swoim okręgu stosowne wskazania wspólnego postępowania. Za tym przykładem pójść także na pewne dwa inne Województwa małopolskie.

Akcja ta musi być podjęta także w tutejszym powiecie i wymagać będzie środków materialnych na zakupno przyborów np. płacht do zbierania strząsanych chrząszczy i na przemję za szczególnie goliwe tępienie tego szkodnika.

+++++++

Ponieważ stwierdzono, że po okolicznych wsiach wałęsa się mieszkańiec gminy Kimirz, Fr. Algiert, i wykonuje wraz z synem kastracje, polecam

Zarządowi gminy pouczyć ludność, że wskutek wielu wypadków padnięcia koni kastrowanych przez Fr. Algierta lub jego syna, zabroniono im wykonywania tego rzemiosła w tutejszym powiecie. W razie spotkania wyżej wspomnianych należy sprawdzić, w jakim celu do wsi przybyli i w razie podejrzenia, że zjawili się z zamiarem kastrowania, przeprowadzić rewizję i znalezione przy nich instrumenty, lekarstwa itp. przedmioty zabrać i jako lico złożyć w Starostwie wraz ze sprawozdaniem. Również należy donieść Starostwu o każdej przez nich wykonanej kastracji, podając gdzie, kiedy i czyje zwierzęta zostały przez Algierta względnie jego syna wytrzebione. Starosta: Marynowski. (nr 24)

+++++++

(...) W związku z powołanym na wstępie rozporządzeniem wzywam Zwierzchności gminne i polecam aby wypływające z wyżej ustawy obowiązki względem żebraków i włóczęgów należycie i zgodnie z przepisami ustawy wykonywały.

W tym celu mają gminy sporządzić przede wszystkim imienny spis wszystkich na ich terenie znajdujących się żebraków i włóczęgów i zbadać co do każdego z nich, jakie są powody ich żebractwa wzgl. wałęsania się i wyludzania wsparć, i gdyby się okazało, że mogą z własnych środków materialnych lub własną pracą zaspokoić swoje niezbędne potrzeby życiowe a żebractwu względnie włóczęgowi oddają się nałogowo lub ze wstrętem do pracy, wezwać ich do zaniechania tego sposobu życia, a w razie nie usłuchania postąpić z nimi bez żadnych względów i w myśl rozporządzenia oddać Policji. (...) (nr 40)

+++++++

Wskutek pisma Korpusu Ochrony Pogranicza Dowództwo 4. Brygady w Czortkowie z 23 kwietnia 1926 r. polecam Urzędowi gminnym aby w razie przechwycenia wojskowych gołębi pocztowych przez ludność cywilną gminy za-wiadamiały o tym natychmiast odnośny Posterunek Policji Państwowej, który znowu ze swej strony powiadomi najbliższy oddział 4. Brygady KOP celem odbioru gołębi pocztowych. Wojskowe gołębie pocztowe mają na nóżce obrączkę rodową. Starosta: Marynowski (nr 8)

+++++++

DO WSZYSTKICH PANÓW STAROSTÓW WOJEWÓDZTWA TARNOPOLSKIEGO

W ostatnich latach frekwencja w szkołach powszechnych na obszarze tut. Województwa pozostawia wiele do życzenia. W niektórych powiatach zaledwie połowa dzieci w wieku szkolnym uczęszcza regularnie na naukę do szkół. Okoliczność ta spowodowała liczne zażalenia także pod adresem administracji ogólnej i instancji powołanych do współdziałania z władzami szkolnymi przy wykonywaniu przepisów o przymusie szkolnym.

W toku rozpatrywania tych zażeń ustalono, że Rady szkolne Powiatowe przy nakładaniu kar za nieposyłanie dzieci do szkół nie stosowały się ściśle

do wyraźnych postanowień artykułów 34, 35 i 36 ustawy z dnia 23 maja 1895 r., skutkiem czego akcja ściągania grzywien szkolnych względnie wykonywania kary aresztu napotykała na trudności i dawała przy przewlekłym traktowaniu jej przez gminy względnie Starostwa małe wyniki, co oczywiście nie mogło przyczynić się do przywrócenia regularnej frekwencji młodzieży szkolnej.

Celem ujednoczenia trybu postępowania w tej sprawie i sprowadzenia jej na właściwe tory Kuratorium Okręgu Szkolnego Lwowskiego okólnikiem z 24 maja 1927 udzieliło wszystkim Radom Szkolnym Powiatowym szczegółowych pouczeń. (...) (nr 32)

+++++

Do
wszystkich Zarządów gmin w powiecie.

Z dniem 1. kwietnia 1928. rozpoczyna swoją działalność Komunalna Kasa Oszczędności powiatu przemysłańskiego, zorganizowana przez Wydział powiatowy na zasadzie Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z 13. kwietnia 1927. Dzu. Nr. 38. poz. 339. a oparta na statucie zatwierdzonym przez Urząd Wojewódzki reskryptem z dnia 7. marca 1928. L. SOP. 2263/28.

Zadaniem Kasy Oszczędności jest ułatwić gromadzenie oszczędności i ich oprocentowanie oraz uprzystępniać ludności tani kredyt.

+++++

Po myśli § 69 ust. łowieckiej na przeciąg trzech lat (od 1.2.1925 do 31.1.1929) mianowani zostali przewodniczący sądu rozjemczego do rozstrzygania sporów co do wynagradzania szkód wyrządzonych przez polowanie i zwierzynę.

I przewodniczącym - P. Stanisław Cybulski dyr. dóbr w Przemyslanach. Zast. P. Adam Sopotnicki, zarz. lasów w Plenikowie, dla następujących miejscowości: Borszów, Brykoń, Brzuchowice, Czupernosów, Krosienko, Lipowce, Łahodów, Majdan Lipowiecki, Meryszczów, Podhajczyki, Pohorylce, Pleników, Przemysłań, Uniów, Uszkowice, Unterwalden, Wołków, Wypyski, Wiśniowczyk.

II przewodniczącym - P. Kazimierz Goleń, zarządca lasów w Pniatynie. Zast. P. Henryk Poluszyński, zarządca lasów w Ciemierzyńcach, dla miejscowości: Biłka, Baczów, Białe, Błotnia, Ciemierzyńce, Dunajów, Dusanów, Janczyn, Kosteniów, Ładańce, Łonie, Nowosiółka, Pletenice, Pniatyn, Podusów, Podusilna, Poluchów Mały.

III przewodniczącym - P. Stanisław Nartowski, właściciel dóbr w Żędowicach. Zast. P. Bronisław Galiński nadleśniczy w Hanaczówce, dla miejscowości: Chlebowice Świrskie, Dobrzańca, Hanaczów, Hanaczówka, Kimirz, Kopań, Korzelice, Niedzieliska, Ostałowice, Sołowa, Stanimirz, Świrz, Tuczne, Turkocin, Wojciechowice, Żędowice.

IV przewodniczącym - P. Karol Mieczysław Etterle notariusz w Glinianach. Zast. P. Mieczysław Michałowski, zarządca lasów w Słowicie, dla miejscowości: Alfredówka, Gliniany, Jaktorów, Krzywice, Kurowice, Laszki Królewskie, Peczenia, Poluchów Wielki, Połonice, Połtew, Przegnojów, Rozwierzany, Słowita, Wyżniany, Zadwórze, Zamoście, Żeniów.

A zatem wszelkie żądania wynagrodzenia za wyrządzone szkody przez polowanie i zwierzynę (dziki) zgłoszone być mają przez poszkodowanego u uprawnionego do polowania lub jego zastępcy celem ugodowego załatwienia bezpośrednio lub za pośrednictwem naczelnika gminy, który zobowiązany jest do trzech dni wdrożyć między stronami postępowanie ugodowe. W razie nie przyjścia do skutku ugody w ciągu dalszych trzech dni ma nastąpić zgłoszenie u Przewodniczącego względnie jego zastępcy sądu rozjemczego danego okręgu. Starosta; Marynowski (nr 20)

+++++++

L. 1103/z7. Przemysłany, dnia 12. 3. 1927.

Do
wszystkich Zarządów gmin w powiecie.

Wydział powiatowy z tytułu nadzoru nad majątkiem i dobrem gmin, powierzył p. inż. Stanisławowi Goleniowi zamieszkałemu w Błotni urządzenie lasów gminnych tutejszego powiatu w cenie po 2'60 fr. od morga lasu na rachunek gmin z obowiązkiem dostarczenia przez gminy podwód do wyjazdu na miejsce d. lasów.

+++++++

Niniejszym zawiadamiam Zwierzchność gminną, że na mocy rozporządzenia Ministerstwa Rolnictwa (...) dla poszczególnych gmin zostali wybrani biegłymi na przeciąg lat trzech dla oszacowania padłych lub zabitych zwierząt następujący mieszkańcy gmin [*Red. Z wszystkich wiosek wybrano jedynie kilkanaście*]:

Borszów: Jan Dobrzański, Stach Kościów, Ignacy Łoik, Władysław Pohl.

Chlebowice Świrskie: Marcin Antoniszyn, Adam Tyszkowski, Franciszek Szewców, Mikołaj Słabicki. **Ciemierzyńce:** Zygmunt Świerzyński, Henryk Poluszyński, Grzegorz Motyka, Leon Winiarski. **Dunajów:** Jan Kamiński, Stanisław Lenartowicz, Marcin Ognisty, Teodor Jurków. **Gliniany:** Franciszek Kraus, Wasyl Tymiak, Michał Fernezy, Iwan Gałan. **Hanaczów:** Tomasz Łomasz, Szczepan Wojtowicz, Józef Łamasz, Michał Burek. **Kimirz:** Józef Filip, Piotr Semmer, Michał Zapłatyński, Szczepan Gruszczyński. **Niedzieliska:** Piotr Tereszczyn, Michał Podhajecki, Michał Wojtków, Ignacy Wojtków. **Nowosiółka:** Michał Gruszkowski, Semko Ziomka, Michał Diduch, Michał Gruszkowski. **Przemysłany:** Izydor Stabryła, Józef Mądrzak, Ambroży Maćkówka, Stanisław Michaliszyn. **Rozworzany:** Paweł Kociołek, Stefan Krupa, Jan Nakoneczny Jacenty Postawka. **Siworogi:** Jan Kunicki, Józef Podkówka, Jan Bryliński, Józef Bedryj. **Wolków:** Iwan Balicki, Andrzej Kościów, Iwan Pilipczuk, Grzegorz Filipów. **Wypyski:** Józef Gancarz, Michał Janczyszyn, Wasyl Hryńczyszyn, Stanisław Gonet. **Wyżniany:** Jan Marciniak, Dmytro Dziba, Jan Nycz, Kalikst Bułkowski. **Żędowice:** Antoni Ostrowski, Ołęksa Kowal, Józef Balicki, Stanisław Nartowski.

Wymienionych należy o tym powiadomić, którzy w terminie do 30 dni powinni się zgłosić w Starostwie w Przemyslanach celem złożenia przepisanej przysięgi. W końcu nadmieniam, że czynności połączone ze sprawowaniem tego stanowiska są wynagradzane przez Skarb Państwa po 2 zł 90 gr za każdą zużytą i rozpoczętą godzinę. Komisarz rządowy Starosta: Marynowski.

L. 1103/z7.

Przemysłany, dnia 12. 3. 1927.

*Do
wszystkich Zarządów gmin w powiecie.*

Wydział powiatowy z tytułu nadzoru nad majątkiem i dobrem gmin, powierzył p. inż. Stanisławowi Goleniowi zamieszkałemu w Błotni urządzenie lasów gminnych tutejszego powiatu w cenie po 2.60 fr. od morga lasu na rachunek gmin z obowiązkiem dostarczenia przez gminy podwód do wyjazdu na miejsce d. lasów.

Przeżyłam cztery wojny (cz. II)

Red. Wywiad z p. Marią Trybalską przeprowadziła p. Dagmara Spodar wraz z p. Piotrem Lasotą, pracownikami Ośrodka „Brama Grodzka - Teatr NN” z Lublina. Słuchowisko znajduje się na stronie www.teatrnn.pl. Redakcja biuletynu bardzo dziękuje p. Piotrowi Lasocie za przyslaną transkrypcję słuchowiska. Natomiast p. Marii Trybalskiej za akceptację wprowadzonych zmian.

Czy Pani ojciec miał jakieś stawy w majątku?

U nas stawów nie było, tylko na rzece Świrz ojciec wybudował młyn. Czy ojciec czy jego przodkowie - nie wiem. Właściwie jeden jedyny na całą okolicę i tam też był tartak. Bo to woda dawała własny napęd. Na pewno w 1939 roku, jak właśnie z ojcem byłem przy nim na koniu w młynie, powiedział:

- Mariańciu, gwarantuję ci, że w tym roku będziesz miała choinkę z oświetleniem elektrycznym, bo wujek Tadzio obiecał nam zaprowadzić prąd, tylko musimy jeszcze słupy postawić i już na Boże Narodzenie będziemy mieli światło elektryczne. I wyszła figa.

A młyn był drewniany czy murowany?

Chyba drewniany, na sto procent nie mogę powiedzieć. Chata stała, ale wydaje mi się, że drewniana. Nie jestem pewna.

Czy miał tam dużo pracy przy młynie? Dużo ludzi przyjeżdżało? Trudno powiedzieć?

Czy mnie ci ludzie interesowali? Tartak był na pewno, bo przecież wiele się budowało. Wracając do rodziny mojej mamy i kochanej babci Scholzowej - to obgadam, niech tam w spokoju spoczywa, ale był to dziwny człowiek. Ja ją dzisiaj trochę rozumiem. Znaczący jak nieraz zastanawiam się nad wszystkim, to z niektórych rzeczy ją tłumaczę, ale nie była to świetlana postać, absolutnie. Pradziad Nartowski jak się ożenił ze swoją Emilią - jak ona się nazywała? Nie Plater, ale jakoś bardzo podobnie w każdym razie, może sobie przypomnę. Emilia, Emilia..., była córką Czecha, właściciela części Żędowic. No nic [jej nazwisko - Stanek - dop. J. W.]. To było chyba pięcioro albo sześcioro dzieci. Najstarszy był Stanisław i właśnie w Kimirzu pracował brat mojej babci. Drugi to był Stanisław, później był Wacek, który przed wojną był dyrektorem gimnazjum w Przemyślu. Wacek, Staszek, Wacek - Jezus Maria. Kto dalej był? A, Leszek. Leszek przed wojną uczył się we Lwowie. Wojnę spędził w Anglii i został w Szkocji i tam się ożenił.

Oprócz tego dwie córki: Janeczka, moja babcia i Wanda - jej siostra, i jeszcze chyba jedna dziewczynka, która zmarła, tak mi się wydaje, ale już nie

pamiętam. Jak moja szanowna babcia wyszła za mąż za pana Józefa Scholza, prokuratora, no to chyba gdzieś był początek tysiąc dziewięćsetnego roku, ale dokładnie którego to nie wiem, bo moja mama była już chyba trzecia czy czwarta z rzędu, a chyba urodziła się w 1906 roku, tak mi się wydaje. No i jak mój ojciec ożenił się, proszę sobie wyobrazić, to dla mnie to jest coś niezrozumiałego, jak można tak postąpić. Jest ślub, a jakże, wesele. W czasie uczyty weselnej, w pewnym momencie nowa teściowa mówi:

- Panie Adamie, pan pozwoli ze mną do drugiego pokoju.

Więc pan Adam grzecznie idzie za swoją teściową. Wtedy ona mówi:

- Panie Adamie, chciałam pana uprzedzić, że moja córka wierzy jeszcze w bociany, a oprócz tego jest inwalidką, bo nie ma jednego oka.

Po ślubie. No więc tak, że nie ma jednego oka, to w ogóle ojciec nie wiedział. Matka moja miała operację robioną rok, półtora roku przed wojną 1914 roku. Jej rodzony najstarszy brat Józek wybił jej oko strzelając z łuku. Dostał łuk, tarczę i bawił się na podwórku strzelaniem z łuku. A Janeczka dziewczyneczka sześć- czy ósmio-, czy dziewięcioletnia, nie pamiętam, schowała się za tarczę, a w pewnym momencie łebek wystawiła. A on w tym momencie strzelił. No i podobno, też nie wiem, czy to prawda, ale była to w Krakowie pierwsza operacja tego typu, że usunięto całe oko i wstawiono sztuczne. I tak to było zrobione, że ja o tym też nie wiedziałam już jako dziewczynka kilkunastoletnia. Oko było rzeczywiście świetnie zrobione, dopiero na starość to jedna powieka była inna niż druga. No bo to już się marszczy, prawda, to już co innego.

Jak się o tym dowiedziałam, bo to mi mama sama opowiadała, to było dla mnie straszne, co ta kobieta sobie myślała. Ojciec był po prostu bardzo dobrym człowiekiem. Bo inny facet to mógł powiedzieć:

- Tak? To inwalidkę żeście mi sprzedali? Cześć, czołem, do widzenia!

Coś niesamowitego. Dobrze, ale ostrzegła, że moja mama wychodząc za mąż miała 18 lat, nie, miała dziewiętnaście. I wierzyła w bociany - to mi mama opowiadała. Jak przyjechali do Chlebowic, to jej małżeństwo zostało, jak określiła ładnie, skonsumowane po dwóch tygodniach. Ojciec chodził z nią po gospodarstwie, pokazywał koguta, jak skacze na kurę i tak dalej, i tak dalej. I tłumaczył, jak się rodzą ssaki i na czym to polega. Trudno sobie wyobrazić coś takiego. Jakby inny mężczyzna się dorwał do takiej dwudziestolatki – mówić jeszcze? Więc taki był mój ojciec. I rzeczywiście to było niesamowite małżeństwo. Jak spojrzę na swoje życie widzę różne, różne doświadczenia. Było to rzeczywiście naprawdę kochające się małżeństwo.

Mówi Pani, że Pani ojciec był dobrym człowiekiem, a jak układały się te relacje z wsią, z pracownikami? Też były dobre, czy...

Kochanie, ja nigdy w swoim rodzinnym domu nie słyszałam podniesionego głosu. Nigdy nie słyszałam przekleństwa. Owszem, jak ojciec czasem był

wkurzony, zdenerwowany, to się zacinał. Identycznie jak Adam Michnik, ale to – też Adam – wypisz, wymaluj to samo, dlatego Michnika Kocham, bo on się tak zacina identycznie. Ojciec jak się zdenerwował to się zacinał bardzo śmiesznie. Jak był tak średnio zdenerwowany, to mówił - cholera. Ja też.

Natomiast jak był strasznie zdenerwowany, to krzyczał wtedy: Jasna cholera! Koniec, kropka. Innych przekleństw to ja nie słyszałam. Dopiero po 1939 roku jak Rosjanie przyszli. O, to się dopiero nasłuchiwało. Ale wcześniej nie słyszałam nigdy podniesionego głosu, ani mojej babuni, matki ojca do mamy, ani mamy do służby. Absolutnie nie. Tego nie było w naszym domu.

Jeszcze mam parę pytań odnośnie tego majątku, a potem może przejdziemy już do tej wojny – też bardzo ciekawe opowieści. Więc chciałabym się jeszcze zapytać, jak park wyglądał?

Park właściwie miał dwa czy trzy świerki, jak ten, co tu u mnie stoi świerk, ku pamięci, że tak powiem. Poza tym dziki bez. Park był nieduży, był



Spotkanie rodzinne w Chlebowicach Świrskich, 1927 lub 1928 r.

Pierwszy rząd (od lewej): Leszek Biały, Stanisław Biały i Tadeusz Scholz.

Rząd drugi (od lewej): NN, Wanda Białówna, Adam Tyszkowski (właściciel ziemski), Janina Tyszkowska (żona Adama) z córką Krystyną, Stanisława Tyszkowska (matka Adama), siostra Stanisławy Tyszkowskiej, Danuta Białówna.

Fotografię przekazała Jolanta Tacakiewicz-Lipińska.

przed samym gankiem duży klomb obsadzony, jak to się nazywają te kwiaty... Lilie, nie lilie, żółto kwitną takie... Róż właściwie nie było.

Natomiast był spory sad, były różne gatunki drzew. Niektóre drzewa dopiero w 1939 roku wydały pierwsze owoce. Mama się strasznie cieszyła, bo sprowadziła, gdzieś tam wyczytała, orzechy, ale to były chyba orzechy tureckie, tak się mówiło. Z tym że one dopiero właśnie w tym roku pierwszy raz wydały owoce, ale jeszcze we wrześniu nie były dojrzałe. To były takie orzechy jak laskowe, tylko dwa razy większe. Nie jak włoski, tylko były gładkie, ale takie bardziej jak migdały, tylko większe. Więc mama z tych orzechów była strasznie dumna, że je sprowadziła.

Poza tym była na przykład hodowla szparagów. Dla nich musi być bardzo dobra ziemia. Robi kopce i korzenie się wkopuje w te kopce. Wysokość kopca to mniej więcej jak wiadro ziemi. I szparagi się wycina, póki nie ma słońca. Jedyny raz mama mnie wzięła, żeby nauczyć, jak się zbiera. Normalnie wstawiała o piątej i wycinała te szparagi, bo te szparagi czym dłuższe, tym lepsze, ale nie może być fioletowa główka, bo wtedy jest goryczka, a fioletowa główka się robi, jak słońce zobaczy. To wszystko jest specyficzne. Szparagi sprzedawane teraz, to nawet nie leżały koło naszych. Wiosną mama codziennie rano chodziła i sama je wycinała. Do tego był specjalny nóż o długości 25-30 cm i na końcu był zaokrąglony. Mama szukała je w ziemi, a gdy znalazła rozdrapywała ziemię i jak najgłębiej wycinała.

Rano furmanka jechała do Bóbrki z dostawą do lwowskiego hotelu, który się nazywał chyba George, tak mi się wydaje, ale nie jestem pewna. Za Bóbrką była stacja kolejowa, gdzie do rannego pociągu dostarczano szparagi, a później inne świeże jarzyny i owoce. Odbierali we Lwowie. Zawarta była jakaś umowa i dostawa warzyw mamy produkcji była codziennie. Ale to mama wszystko robiła, to nie było tak, że służąca robiła. Mama też robiła, ale wiadomo, że nie kopała ziemi. Przy szparagach mama zawsze sama pracowała, bo nikt nie umiał zrobić tak jak ona.

Zboże na pewno też, tak?

A zboża? Zboża kochanie były wszystkie te, które akuratnie ojciec siał. Wiem na pewno, że była gryka. Wiem na pewno, że był owies. Wiem na pewno, że była pszenica, buraki czerwone, buraki cukrowe też były. Uprawy były mieszane. Dodatkowo ojciec zaczął hodowlę różnych ziół. Był rumianek i jeszcze jakieś inne zioła. No i na przykład ta cholerna czerwona koniczyna, którą właśnie uprawiał na nasiona. Było pewne przebranzowienie na jakąś inną, innego typu gospodarkę - tak się domyślam. Co ja mogę więcej powiedzieć na ten temat?

Natomiast pętałam się cały czas po tym majątku, po tych drzewach - lazałam jak małpa po drzewach. Raz jedyny miałam cudną historię, bo mnie mama wystroiła, nawet jakąś sukienkę chyba włożyła. W ogóle się zastanawiam, w czym ja chodziłam, czy ja chodziłam rzeczywiście w sukienkach? Nie pa-

miętał zupełnie. Natomiast wiem, że mnie wystroiła, nawet mi skarpetki włożyła i kazała iść do sadu. U nas były dwie bramy. Jedna była gospodarcza, przez którą zwoziło się wszystko z pola do majątku, a druga, wjazdowa, przez ogród i sad. I właśnie tą wjazdową bramą wjeżdżali goście.

- Dzisiaj przyjedzie ciocia Janka ze Lwowa, to jest twoja chrzestna mama, biegnij do sadu i jak zobaczysz nasze konie, to przybiegnij żeby bramę otworzyć - powiedziała.

Poszłam do sadu i pomyślałam, że dobrze się patrzy z drzewa. Więc wlałam na drzewo i w pewnym momencie widzę nasze konie, powóz już jedzie. No i chciałam zeskoczyć, tylko zapomniałam widocznie, że w kiece jestem, a tam była obcięta gałąź, więc się powiesiłam na tej gałęzi. Jak ciotka przyjechała, to właśnie wisiałam. Furman zszedł z wozu i zdjął mnie z tej gałęzi. Tak się skończyło powitanie cioci.

Jak byłam we Lwowie to odwiedziłam ciocię, Janinę Chorzowską. To była moja matka chrzestna. I wtedy pierwszy raz w zasadzie widziałam Lwów, bo ja kilka razy byłam w tym mieście jako mały szczeniak, ale nic nie pamiętam. A wtedy byłam dwa tygodnie czy tydzień we Lwowie i pochodziłam sobie po nim. Między innymi mało mnie nie zamknęli na cmentarzu Łyczakowskim. No bo gdzie ja pójdę? Do Obrońców Lwowa? Nie. Więc kupiłam kwiaty i ciotka wytłumaczyła, jak się tam idzie i pojechałam na ten cmentarz. Ale nie wiedziałam, że tam akuratnie nie wolno wchodzić, a wlałam. No i chcieli mnie zamknąć Ukraincy. Ale się wymigałam.

To jeszcze wróćmy do tego przyjazdu Pani cioci, czyli powiedzmy jak my byśmy przyjechali tym pociągiem i Pani chciałaby nas oprowadzić po majątku, to wysiedlibyśmy na stacji i podeszlibyśmy pod tą bramę główną, tak? I dalej...

Trzeba było zawiadomić przez pocztę, wysłać telegram, bo telefonów nie było, prądu nie było, więc nie wiem, jak oni zwiadamiali. Przypuszczam, że po prostu dzwonili i z poczty przyjeżdżali. Tak mi się wydaje, tego nie wiem, kompletnie nie wiem.

No to w takim razie podjeżdżamy pod tą bramę główną i Pani nas chce oprowadzić, taki spacer nam zrobić po majątku. To co mijamy po drodze? Przechodzimy przez bramę główną...

I wchodzimy nie z tej strony, bo do majątku trzeba było przez tą bramę gospodarczą wjeżdżać, bo dom był z jednej strony, a dział gospodarczy i wszystkie stajnie. Z drugiej strony kawałek parku, a przede wszystkim ogród i sad. I duży, duży taras, ganek oszklony, więc podjeżdżało się, klomb był okrągły i podjeżdżało się pod ganek. Goście wysiadali i przez ganek wchodziło się od razu do dużego pokoju. Z drugiej strony też było wejście do dużej sieni, z jednej strony nasza kuchnia, z drugiej strony była kuchnia czeladna i dalej kawałek kory-

tarza, i wchodziło się do jadalni.

A jakie meble były w tym domu?

Meble? W oczach to mam właściwie dwa meble. W jadalnym w kącie stał czarny, okrągły stolik, na którym stał złoty samowar z Tuły, znaczy on sam nie był złoty, tylko właśnie w kolorze złota. Jak była duża ilość gości, to uroczyście piło się herbatę z samowara. Było podkreślane, że samowar pochodził z Tuły. Nie wiedziałam dlaczego, dopiero dzisiaj wiem, że wytwórca był z Tuły. A na ścianie od strony kuchni, czyli tak jak tutaj, to był róg i tu tuła stała, a tu była cała ściana. Był tylko jeden kredens typu gdańskiego - czarny z niesamowitą ilością szufladek, półek itd., itp. I on był prawie do sufitu. Na górze były wszystkie kieliszki, szklanki, filiżanki, czorty nie widy, a na dole z kolei talerze, półmiski i obrusy. To była cała jedna ściana. *Vis-à-vis* z kolei stał duży stół na dwanaście osób, a jak się rozkładało, był na dwadzieścia cztery osoby. A z tej strony wchodziło się właśnie na ganek. Jakie krzesła były to nie powiem, tego nie pamiętam.

Natomiast to też przekomiczne, bo mi dopiero wyskoczyło, jak starałam się o odszkodowanie, bo ja dostałam odszkodowanie. Tak, tak, dostałam, cholera. No nieważne. W każdym razie jak miałam rozprawę w Warszawie, w 1980 roku? Nie, w którym to było roku?... Jezus Maria, jak ja zapominam. Już w 2000 roku miałam tę rozprawę. I między innymi właśnie zapytano:

- Jakie było wyposażenie?

- Ja to mam wszystko zapisane.

- Jakie były obrazy?

- Obrazy? Były jakieś obrazy, ale.... - mówię.

- Ile Kossaków?

- Żadnego Kossaka proszę panią ja nie pamiętam. Owszem, były jakieś obrazy, ale to były chyba jakieś rysunki przodków, w każdym razie nie były to obrazy żadnego Matejki, u nas nie było.

- Jakie były dywany?

- Żadnych dywanów nie było - mówię.

- Jaka była podłoga?

- Zwykle deski, każdej soboty szorowane przez dwie służące we wszystkich pokojach.

- A jakie były dywany?

- Nie było żadnych dywanów, w jadalni tylko były skóry wyprawione z samych dzików, na tarasie, na ganku same skóry dzików, natomiast przy łózkach były skóry z jeleni, bo one są miękkie. A dywanów?

- Jak to, nie było żadnych dywanów?

- Żadnych dywanów.

Później jest przerwa w rozprawie sądowej, a ja wyszłam na papierosa na

korytarz i wyszła ze mną pani sędzina - nie sędzina, w każdym razie tam siedziała i mówi:

- Wie pani? Ja pani wierzę w każde słowo.

- Proszę panią, po co miałam kłamać?

- Proszę panią, żeby pani wiedziała, co ludzie opowiadają, co w tych majątkach było. Każdy miał co najmniej dziesięć Kossaków i cztery dywany perskie. A pani nic nie miała.

- Bo u nas nie było, to co ja mam mówić, że było? - mówię.

- A pani myśli, że u nich były?

- Nie wiem, może i były. Różne gospodarstwa były - dodałam.

Czy u państwa Komorowskich nie było perskich dywanów? To bym się bardzo zdziwiła, gdyby nie było. Natomiast u nas nie było, po prostu ten majątek, jak mój ojciec dorósł, czyli dopiero w 1919 roku zaczął naprawiać, bo wszystko było zniszczone, spalone. Babcia z trójką dzieci gospodarowała na tym i była tak zwana, podobno, rada rodzinna, czy to było ze strony Buni, czyli matki ojca, czy ze strony jego jakiejś dalszej rodziny - nie wiem. Oni pomagali wdowie jakoś ten majątek trzymać, ale z tego co mi moja mama mówiła, jeszcze w 1925 roku, jak wyszła za mąż, to szereg budynków było krytych papą. Natomiast jak ja już pamiętam z 1939 roku, to wszystkie budynki były kryte dachówką, za wyjątkiem naszego domu rodzinnego.

A reszta wszystkie gospodarstwa były zniszczone tak, że ojciec musiał bardzo dużo włożyć pracy i nagłówkować, żeby to wszystko jakoś odnowić. Dlatego hodował konie dla wojska, mama z kolei do tego Georga do Lwowa wysyłała owoce, jarzyny, buraki, kiszone ogórki w beczkach. Dorabiali na różne sposoby, więc to nie było, że tak powiem, nowobogactwo, absolutnie. To był ciężki dorobek. Ale było, minęło, nie ma.

Cdn.

Profesorowie z naszego powiatu

Adam Daniel Rotfeld

Urodził się 4 marca 1938 w Przemyślanach. Przyszedł na świat w żydowskiej rodzinie Berty i Leona Rothfeldów w Przemyślanach, jego rodzice zostali zamordowani przez Niemców w czasie wojny. Uratowany w Uniowie koło Przemyślan przez grekokatolicki zakon studytów, którego zwierzchnikiem był Klemens Szeptycki. W klasztorze ochrzczono go i nadano nazwisko Czerwiński; do prawdziwego wrócił dopiero kilka lat po wojnie. W 1946, po rozwiązaniu klasztoru i delegalizacji kościoła grekokatolickiego w ZSRR władze radzieckie przeniosły dzieci do Złoczowa.

W 1951 dzięki staraniom ambasady polskiej w Moskwie został repatriowany do Polski, przebywał w domu dziecka w Krakowie. Tu w 1955 ukończył V Liceum im. Witkowskiego. W 1954 został usunięty z organizacji młodzieżowej ZMP. Jest absolwentem wydziału dyplomatyczno-konsularnego Szkoły Głównej Służby Zagranicznej w Warszawie, gdzie uzyskał tytuł magistra z zakresu międzynarodowego prawa publicznego (1955-1960), następnie studium dziennikarskiego Uniwersytetu Warszawskiego (1960-1962). W 1969 uzyskał tytuł doktora nauk prawnych Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 1990 uzyskał tytuł doktora habilitowanego nauk humanistycznych, a w 2001 tytuł naukowy profesora nauk humanistycznych.

W latach 1961-1989 pracował w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych w Warszawie, gdzie początkowo zajmował stanowisko redaktora (1961-1962), następnie jako sekretarz redakcji miesięcznika Sprawy Międzynarodowe (1962-1968) i od 1964 również jako zastępca redaktora naczelnego Redakcji Wydawnictw PISM. Mianowany adiunktem w Zakładzie Bezpieczeństwa Europejskiego PISM w 1969. W 1978 został mianowany kierownikiem w Zakładzie Bezpieczeństwa Europejskiego PISM.



Brał udział w pracach II fazy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE) jako członek polskiej delegacji w 1974-1975 w Genewie oraz w Spotkaniach KBWE w Belgradzie, Madrycie oraz Wiedniu.

W 1989 został kierownikiem projektu badawczego w Sztokholmskim Międzynarodowym Instytucie Badań nad Pokojem (SIPRI), gdzie w 1991 został wybrany na 5-letnią kadencję dyrektorską oraz powtórnie na następną kadencję przedłużoną do czerwca 2002. W latach 1992-1993 został osobistym przedstawicielem przewodniczącego KBWE ds. politycznego rozwiązania konfliktu w Naddniestrzu, a wynikiem jego pracy było przyjęcie końcowego raportu dającego podstawy do pokojowego rozstrzygnięcia konfliktu. W 2000 został mianowany przez prezydenta RP A. Kwaśniewskiego na członka Rady Bezpieczeństwa Narodowego. W czerwcu 2002 został mianowany na stanowisko podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w rządzie L. Millera. W czerwcu 2003 roku objął stanowisko sekretarza stanu w tymże ministerstwie. 5 stycznia 2005 r., po objęciu funkcji marszałka Sejmu przez W. Cimoszewicza, objął on funkcję ministra spraw zagranicznych. Sprawował ją do 31 października 2005.

Za kierowanie działalnością Sztokholmskiego Międzynarodowego

Instytutu Badan nad Pokojem (SIPRI) otrzymał z rąk króla Karola Gustawa XVI Srebrny Medal Królewskiej Akademii Wiedzy Wojskowej oraz komandorię Królewskiego Orderu Gwiazdy Polarnej (2001). Za polepszenie stosunków między Polską a Republiką Federalną Niemiec prezydent federalny H. Koehler przyznał Wielki Krzyż Orderu Zasługi Republiki Federalnej Niemiec (30 sierpnia 2005). 11 listopada 2005 został odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Decyzja Rady Miejskiej m. Przemysłany otrzymał 14 maja 2004 tytuł Honorowego Obywatela Miasta. Kapituła Pojednania Polsko-Ukraińskiego przyznała Nagrodę Pojednania za rok 2007, którą otrzymał 24 czerwca 2007 w Sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Lagiewnikach z rąk metropolity krakowskiego kardynała S. Dziwisza i zwierzchnika kościoła grekokatolickiego w Polsce arcybiskupa J. Martyniuka.

W latach 1962-1964 pełnił funkcję przewodniczącego Studenckiego Stowarzyszenia Przyjaciół ONZ w Polsce. W 1962 został członkiem Polskiej Grupy Stowarzyszenia Prawa Międzynarodowego (ILA), a w 1992 - Międzynarodowego Instytutu Studiów Strategicznych (IISS) w Londynie. W 1995-2006 został wybrany członkiem Rady Naukowej Instytutu Badań nad Pokojem i Polityką Bezpieczeństwa przy Uniwersytecie Hamburgskim, w 1996 - członkiem Szwedzkiej Królewskiej Akademii Wiedzy Wojskowej, w 2001 - członkiem Rady Międzynarodowego Centrum Demokratycznej Kontroli nad Siłami Zbrojnymi (DCAF), w 2003 - Genewskiego Centrum Polityki Bezpieczeństwa (GCSP), w 2006 - członkiem Rady Konsultacyjnej Sekretarza Generalnego ONZ do spraw Rozbrojenia.

Adam Daniel Rotfeld napisał ponad 300 publikacji naukowych, w tym ponad 10 książek, 12 monografii współautorskich, ponad 50 rozdziałów w pracach zbiorowych oraz ponad 300 artykułów. Trzy z jego monografii uzyskały nagrody prezesa Polskiej Akademii Nauk, Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych i ministra spraw zagranicznych. Ostatnia publikacja: „Polska w niepewnym świecie”. wyd. PISM, Warszawa 2006. (www.money.pl)

Pokłosie naszych publikacji

W poprzednim zeszycie „Spotkań Świrzan” (nr 147, str. 41) ukazał się tekst o powstaniu archiwum i biografii gen. T. Komorowskiego. Czytelnicy pragnący wesprzeć finansowo tworzenie biografii mogą wpłacić datkę na konto Fundacji Ośrodka KARTA: Bank BNP Paribas Bank Polska S.A.

90 2030 0045 1110 0000 0415 5420.

Tytuł przelewu: *Darowizna na cele statutowe. Biografia gen. Bora.*

Nazwiska darczyńców będą wymienione w biografii w porządku alfabetycznym, bez podania kwot.

Redakcja

Lucyna Deskur

Dziękuję Ci, Stasiu...

Chyba przed dwoma laty czytałam w gazecie wiadomość o przemysłańskim Żydzie, Leopoldzie Kozłowskim, który obchodził jubileusz setnej rocznicy urodzin. Wtedy przypominałam sobie wspomnienie mojej mamy, Stanisławy Kolabińskiej-Wolskiej, o wojennym zdarzeniu związanym z tą osobą.



Stanisława Kolabińska.
Fotografia przedwojenna,
ze zbiorów redakcji.

Był chyba rok 1943 i mama pracowała w sklepie z obuwiem, w tak zwanym sklepie Bata. Zapewne otrzymała to zajęcie dzięki swojemu tacie i w ten sposób nie została wywieziona na przymusowe roboty do Rzeszy. Może mówiła o porze wydarzenia, ale już nie pamiętam. W pewnej chwili do sklepu wpadł zdyszany Leopold Kozłowski, zwany wtemczas Poldkiem Kleinmanem. Był w mundurze żydowskiej policji pomocniczej, ale bez czapki. Nim otworzył drzwi rozejrzał się, wszedł do wnętrza i błagającym głosem wyksztusił:

- Stasiu, ukryj mnie bo szukają mnie gestapowcy.

Sklep był mały, składał się z dwóch pomieszczeń, w tym z niewielkiego zaplecza, gdzie stały pudełka z butami. Przestraszona mama wskazała ręką drzwi.

- Choć do magazynku.

Razem przełożyli kilkanaście pudełek tak, aby między ścianą i pudłami było trochę miejsca dla uciekiniera. Dodatkowo mama położyła na nim kilka pudełek z butami i wróciła do sklepu.

Za jakiś czas weszło dwóch gestapowców, pytając, czy nikt nie wchodził. Mama wprawdzie zaprzeczyła, ale Niemcy zlustrowali sklep a jeden wszedł do zaplecza. Spojrzał na pudełka i wrócił. Po chwili obaj opuścili sklep.

Poldek przesiedział w kryjówce ponad dwie godziny a później wyszedł ze sklepu. Zdaje mi się, że mówił o lesie jako celu swojej dalszej ucieczki.

Po wojnie odwiedził moją mamę i bardzo jej dziękował za bohaterski wyczyn.

- Stasiu, ty wtenczas uratowałaś mi życie. Bardzo ci dziękuję - powiedział Leopold. Później wspominali lata spędzone w Przemyślanach. Nietrudno sobie wyobrazić dalszy los mamy, gdyby Niemcy znaleźli Poldka w sklepie.

Józef Wyspiański

Wykaz ofiar zbrodni popełnionych przez nacjonalistów ukraińskich na osobach narodowości polskiej w pow. Przemyślany (XXXIV)

W jednym z licznych listów nadesłanych przez p. Władysławę Bagińską-Polakiewicz znalazł się fragment, który chyba nie był publikowany w naszej gazecie. Jego treść dotyczy pomocy udzielonej przez rodzinę Bagińskich polskiemu oficerowi, który został napadnięty na drodze w pobliżu Przemyślan. Prawdopodobnie napastnikami byli członkowie bojówki ukraińskich nacjonalistów. Tak wspomina autorka listu: *Następne bestialstwo miało miejsce w drugiej połowie września 1939 r. Był zimny, ponury dzień. Późno po południu wujcio Władzio poszedł przez gościniec na drugą część naszych pól, które wiodły na łękę leżącą nad Gniłą Lipą. Usłyszał jęk, za chwilę ponownie, więc poszedł w tym kierunku. W zagonach kartofli zobaczył ciężko poranionego człowieka. Przyniósł go na rękach do domu, a krew obficie znaczyła drogę. Ranny zaraz został umieszczony na łóżku przy oknie, w dużym pokoju. Miał on cały brzuch porżnięty głęboko w wielu miejscach. Widocznie napastnicy zostawili go żywego aby się męczył. Pamiętam jak mój wujcio, po złożeniu go na łóżku, bardzo się rozplakał.*

Ktoś natychmiast pojechał na rowerze do miasta po lekarza, choć było niebezpiecznie. Lekarz przyjechał bardzo szybko. Przeprowadził operację, starannie i dokładnie wszystko pozszywał. Zalecił na dłuższy czas całkowity odpoczynek. Rannym był porucznik Klaja. Wracał z frontu, tak jak mój wujek, najmłodszy Albinek walczył na wojnie. Pan Klaja miałby serdeczną opiekę w naszym domu, ale on dobry żołnierz i patriota poszedł na Rumunię, tak jak wielu w tych dniach podążało.

Te dni i noce straszne były bez przerwy. W domu, w stodole, na strychach i kuźni odpoczywali skrajnie wyczerpani ludzie. Opowiadali straszne historie.

W archiwum redakcji „Spotkań Świrzan” odnalazł się list Józefa Brody z 30.10.2007 r., w którym opisuje okoliczności śmierci Katarzyny Hałapy z Majdanu Lipowieckiego.

W czasie okupacji niemieckiej obawialiśmy się Ukraińców z UPA, dlatego ustaliliśmy nocne pilnowanie przez mężczyzn Majdanu z białą bronią. Było nas mało, gdyż część młodzieży Sowietów zabrali do Armii Czerwonej, a część Niemcy zabrali na przymusowe roboty do Rzeszy. Obroną kierował były komendant Związku Strzeleckiego, Antoni Diduch.

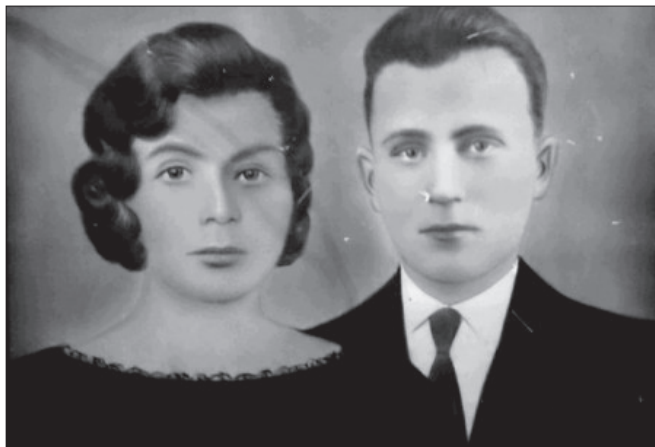
Pierwszy napad UPA na wioskę był 29 marca 1944 r. a drugi 4 kwietnia tego roku. Między nimi byłem w nocy w swoim domu, a to co zobaczyłem ogarnął

mnie strach. Meble były zdewastowane, okna powybijane, drzwi otwarte, zaś na ścianach mieszkania i suficie dużo śladów po pociskach broni palnej. Więcej razy nie odwiedzałem domu.

W Przemyślanach przebywałem od 15 marca do 20 maja 1944 r., gdyż obawiałem się napadu ukraińskich nacjonalistów na Majdan. Częściowo mieszkalem u p. Magdaleny Korzeniewskiej na ul. Zielonej. W niedzielę 14 maja, późnym wieczorem, był nalot sowiecki na miasto. Od rzuconej bomby zginęła wtedy Katarzyna Hapała, znajdująca się na podwórku Kancara. Byłem na jej pogrzebie i ostatni raz spotkałem się z chłopakami z konspiracji. Przypuszczam, że rzut bomby miał być dokonany na tory kolejowe linii Przemyślany-Brzeżany, ale bomba spadła w inne miejsce. Dom Kancara był oddalony ok. 400 m od torów.

Podpowiedzi innych mieszkańców Majdanu Lipowieckiego o zamordowaniu K. Hapały przez ukraińskich nacjonalistów nie są więc prawdziwe. Zmniejsza to liczbę ofiar napadów z wioski do 74 osób, jak również o jedną na terenie powiatu.

Pan Marek Wik podał kolejną ofiarę napadu w Ciemierzycach. Jest nią **Józefa Wik** (nazwisko panińskie), ale dodatkowe informacje o tej osobie ani o okolicznościach zabójstwa jeszcze nie są redakcji znane. Była siostrą Jana Wika, z którym jest na powojennej fotografii pamiątkowej. Na razie została wpisana do redakcyjnego rejestru ofiar w miejsce o nieznanym nazwisku.



Józefa Wik
(nazwisko po mężu
nie jest znane) i jej
brat Jan Wik
z Ciemierzyniec.
Kobieta jest kolejną
ofiarą napadu
ukraińskich
nacjonalistów.
Fotografię nadesłał
p. Marek Wik.

O aresztowaniu rodziców Adama Daniela Rotfelda podano w zeszycie „Spotkań Świrzan” (nr 63, str. 20). Natomiast w książce R. Warszawskiego *Dzikowska. Pierwsza biografia legendarnej podróżniczki*. (Wyd. Znak, Kraków 2019, bez numeru strony) mamy dokładniej podaną osobę donosiciela: *Gdy w lipcu 1944 roku przez okolice Lwowa przewalił się front, po inne dzieci*

przechowywane w klasztorze zaczęli się zgłaszać rodzice lub inni krewni. Po Daniela nikt nie przyjeżdżał. W tym czasie - o czym jeszcze nie wiedział - jego matka i ojciec już od ponad roku nie żyli. **Zadenuncjował ich Ukraińiec, który zauważył, że pewien wiejski nauczyciel przechowuje u siebie w domu żydowskie małżeństwo. Ukraińska policja aresztowała ich i wydała Niemcom, a ci rozstrzelali.** [podkreślenie J.W.] *W lesie przetrwała jedynie Alina, starsza o jedenaście lat siostra Adama. Rodzice Adama - Berta i Leon Rothfeldowie.*

Tarnopolski Dziennik Wojewódzki (z 1.04.1938 r.) podał informację o udzieleniu koncesji na prowadzenie apteki w Glinianach Jadwidze Medyńskiej. Ta osoba wraz z siostrą została zamordowana 25.06.1944 r. w drodze do Lwowa, dokąd uciekały przed utratą życia. Dotychczas nie było znane jej imię. Imię siostry Jadwigi nadal pozostaje nieznane.

Uwzględniając nowe dane o skutkach napadów ukraińskich nacjonalistów, liczba ofiar w byłym powiecie przemysłańskim wynosi łącznie 1758. W tym jest 1542 Polaków, 160 Ukraińców, 52 Żydów i czterech Rosjan. Zaledwie kilka osób z wykazu ofiar wyzdrowiało po zadanych ranach. Ponad 300 osób nie jest znanych z nazwiska (Polacy, Ukraińcy i Żydzi).

Ponadto Niemcy, niekiedy pod wpływem ukraińskich donosów, zastrzelili conajmniej 30 Polaków i sześcioro Żydów. Większość jest znana z nazwiska. Lista ofiar napadów nie jest pełna i będzie uzupełniana w miarę napływu kolejnych danych.

Redakcja *SPOTKANIA ŚWIRZAN* nadal zbiera informacje o nowych, nieznanach dotychczas ofiarach napadów ukraińskich nacjonalistów, fotografiach zabitych Polaków jak również informacje uzupełniające (okoliczności morderstwa) do już znanych nazwisk. Nowe dane będą publikowane w naszej gazetce.

Szczególnie brakuje danych o ofiarach z miejscowości leżących na południu powiatu, z takich wiosek jak: Korzelice, Wojciechowice, Młynowce, Żędowice, Baczów, Meryszczów, Podusów, Nowosiółka i Dusanów.

Red. Poniższy tekst znaleziono w „Kurierze Lwowskim” z 29.09.1888 r. Zachowano oryginalną pisownię.

Pożar w Glinianach

Ośmnasta w br. pożoga miasteczka. W jednym tygodniu drugie miasteczko padło ofiarą ognia. Gliniany, dość ludne, bo około 5000 ludności liczące miasteczko powiatu przemysłańskiego, siedziba sądu powiatowego, notariatu i urzędu pocztowego, po raz drugi w tym roku nawiedzone zostało ogromną klęską pożarową. Tym razem ofiarą rozsza-

NAJWIĘKSZA W KRAJU WYTWÓRNI
KILIMÓW ARTYSTYCZNYCH

MICHAŁA CHAMUŁY

W GLINIANACH (KOŁO LWOWA)

Firma daje pełną gwarancję, że KILIMY z jej wytwórni są: ręcznie tkane z czystej owczej wełny (bez domieszek), Ornamenty i wzory artystyczne o motywach ludowych i nowoczesnych, Barwniki światłotrwałe nieczułe na zmiany atmosferyczne.

KILIMY CHAMUŁY:
STYLOWE ◊ REPREZENTACYJNE ◊ UŻYTECZNE ◊ WIECZNE

Hurtowna i detaliczna sprzedaż **Kraków, ul. Basztowa 15**, (dom Feniksa)
Telefon 118-03. Konto czek. PKO 500.592. — Korespondencje załatwia się odwrotnie.

JA-RU

Reklama
kilimów
artystycznych
z czystej wełny
M. Chamuły
z Glinian.

łałego żywiołu padła wyłącznie prawie ludność rolnicza, włościańska. Pożar wszczął się w jakiejś zamkniętej chacie, z której wszyscy mieszkańcy wyszli byli w pole do pracy. Trudno dociec, czy powstał on w skutek nieostrożności, czy też może był podłożony jaką ręką zbrodniczą. O ratunku w pierwszej chwili nie było mowy, gdyż ludność dorosła znajdowała się w polu przy pracy. Wkrótce jednak zerwał się wiatr i zaczął tak gwałtownie miotać ogniem na wszystkie strony, że tylko ratunek skombinowanych straży mógł być skuteczny, mimo że Gliniany dość dobrze zaopatrzyły się były w nowe przyrządy do gaszenia ognia, zwłaszcza po ostatnim pożarze. Brak było ludzi wprawnych w służbie pożarnej i zdolnych stawić opór rozhukanemu żywiołowi. Jak już doniósł nasz telegram, w liczbie spalonych gospodarstw znajduje się także plebania greckokatolicka wraz z zabudowaniami gospodarskimi i wszystkimi zbiorami tegorocznymi. Wielka to klęska, która dotknęła zasłużonego kapłana i obywatela, ks. Reszetyłowicza, założyciela i kierownika kasy zaliczkowej gliniańskiej, która należała do najpomyślniej rozwijających się w naszym kraju. Przed kilkoma tygodniami, pisząc do nas o poprzednim pożarze, użalał się on na nieodpowiedni sposób zabudowywania pogorzelska, oświadczał, że w istocie straszno teraz mieszkać w małych miasteczkach. Niestety, obawa ta aż nadto prędko i okropnie się ziściła.



Red. „Deklaracja...” była zbiorem 111 tomów opracowanych w Polsce i dostarczonych do Białego Domu z zamiarem uczczenia 150. rocznicy Deklaracji Niepodległości, ale również podziękowanie za niesioną pomoc głodującym polskim dzieciom po zakończeniu I wojny światowej. Podpisy złożono w 1926 r.

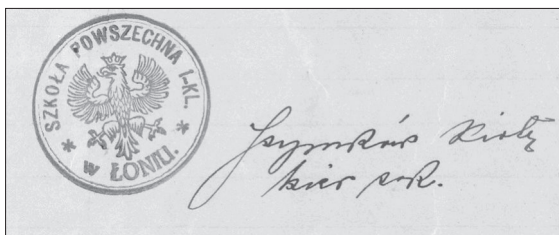
Wpisy dzieci w księdze „Deklaracji Podziwu i Przyjaźni dla Stanów Zjednoczonych” - ze szkoły w Łoni, Majdanie Lipowieckim, Mazowie, Ostalowicach i Podusilnej

Łonie - szkoła powszechna jednoklasowa. Opiekun - ks. Piotr Struszkiewicz, kierownik - Piotr Szymków, inspektor - Jan Koneczny.

Oddział II: Gutman Maria, Gutman Izabela, Hrycak Dymitr, Hrycak Maria, Kozak Michał, Kułyk Michał, Koziura Janina, Koziura Maria, Lewiniec Symeon, Malicki Piotr, Matwijków Mikołaj, Nadebeny Mikołaj, Pyłpiak Maria, Sulipa Grzegorz, Sulipa Anna, Szczerbaty Jan, Szkoruda Julia, Ławka Grzegorz (nauczyciel?), Sobeczko Bazyli, Łukaszów Parania, Malicka Stefania, Szozda Anna (dwa nazwiska: Major Adolf i Friedman Regina).

Oddział III: Andruszkówna Anastazja, Buczek Piotr, Gabrielów Paweł, Malicka Parania, Kwiatkowska Helena, Kwiatkowski Józef, Mańkowska Maria, Nowak Jan, Sawka Dymitr, Sawka Jan, Sawicka Eudokia, Sobeczko Katarzyna, Sobków Leon, Sulina Symeon, Tkaczykówna Maria, Tkaczyk Grzegorz.

Oddział IV: Adlerówna Estera, Gabrielów Piotr, Hładki Mikołaj, Hrycakówna Anastazja, Malicki Bazyli, Malicki Jan, Mazur Jan, Sobeczko Maria, Tkaczyk Mikołaj, Żukrowski Jan, Tkaczyk Katarzyna, Białonóżki Bazyli, Dubasówna Maria, Oleskierówna Maria, Śmietana Piotr, Sobeczko Eudokia, Tennenbaumówna Róża, Adlerówna Maria.



Stempel Szkoły Powszechniej w Łoni z podpisem kierownika.

Majdan Lipowiecki - szkoła jednoklasowa. Opiekun - nazwisko nieczytelne, kierownik - Aleksander Komusiewicz, inspektor - Jan Koneczny.

Broda Jan, Błaszaków Maria, Diduch Anna, Gułaj Piotr, Głogowski Jan, Pod-

kówka Janina, Podkówka Mateusz, Podkówka Helena, Podkówka Stefania, Podkówka Józef, Mariczka Maria, Peczenik H., Broda Maria, Burczak Zofia, Bogacz Bronisława, Czajkowski Józef, Dąbrowski Zygmunt, Dąbrowski Władysław, Dzikowska Rozalia, Hawryliszyn Franciszek, Marszałem Maria, Podkówka Rozalia c. M., Peczenik Ewa, Podkówka Rozalia, Podkówka Piotr, Żukrowski Kazimierz, Ruda Maria Rudy Władysław, Tropper Aniela, Diduch Zofia, Kisil Piotr, Wancel Piotr, Żukrowski Franciszek, Czajkowska Helena, Dąbrowska Anna, Broszko Anna, Brzezicki Szczepan, Kislinger Antonina, Wancel Stefan, Podkówka Olga, Diduch Maria, Żukrowska Bronisława, Przyjacielska Helena, Zdanowicz Maria.

Mazów - szkoła powszechna jednoklasowa. Opiekun - Wojciech Haracz, kierownik - Grzegorz Piotrowski, inspektor - Jan Koneczny.

Groniówna Adela, Haraczówna Stefania, Dawidek Matylda, Górz Jan, Goraj Jan, Górzówna Stefania, Głodek Wojciech, Wójtowicz Mieczysław, Groń Władysław, Głodek Jan, Bok Franciszek, Głodek Katarzyna, Groniówna Helena, Bok Kazimierz, Haracz Zdzisław, Haracz Roman, Wójtowicz Tadeusz, Bok Jan, Gorajówna Stefania, Wasyliszyn Katarzyna, Wasyliszyn Paweł, Głodek Roman, Gorajówna Aniela, Haraczówna Liliana, Pasternak Anna, Jacyszyn Wiktoria, Haracz Ludwik, Wójtowicz Józefa.

Ostałowice - szkoła dwuklasowa. Opiekun - Marian Wolański, kierownik - Włodzimierz Turski, inspektor - Jan Koneczny.

Tabak Mińcia, Łeszczyszyn Parańka, Kekot Haśka, Natura Maria, Burbulewycz Anna, Majdani Anna, Krieg Szulim, Stefanyszyn Stefan, Iwaszczyszyn Petro, Iwaszczyszyn Iwan, Pastuszyn Stanisław, Balicki Leon, Łucyszyn Jarosława, Sbozdyk(?) Maria, Gorecka(?) Maria, Sahyn Iwan, Płaksej Stanisław, Burbulewycz Mikołaj, Kohut Michał, Dyczkowski Michał, Karpa Ołekska, Burbulewycz Maria, Kowal Nastka, Nahirna Katarzyna, Natura Katarzyna, Burbulewycz Anna, Hymon Katarzyna, Marciniw Tekla, Natura Anna, Bukowska Anna, Mytrogan Katarzyna, Jakubiszyn Katarzyna, Wasyleckij Eustachy, Krewniak Michał, Marciniw Wasyl, Matwijkiw Dmytro, Zmysłny Wasyl, Beś Michał, Strychar Anna, Bukowski Iwan, Kuleba Teodor, Mykietyshyn Michał, Sobolewski Wasyl, Mytrogan Wasyl, Stefanyszyn Stefan, Gołycz Iwan, Senega Michał.

Podusilna - szkoła dwuklasowa. Opiekun - Michał Małogłowski(?), kierownik - Leon Wojczak, inspektor - Jan Koneczny.

Tarasiuk Pawlina, Dubska Maria, Małogłowska Aniela, Pryszlak Pawlina, Dubska Julia, Wyszniowiecka Paraskewia, Dyka Anna, Zacharko Paraskewia, Tyczkiwska Maria, Sawycka Maria, Łysak Helena, Hrywnak Justyna, Wysz-



Irena Komorowska. Świrz, widok z dziedzica górnego na bramę wjazdową. Akwarela z lat 1920-1930.

Zdjęcie pobrano z katalogu pt. *Zamek w Świrzu*.

niowecka Anna, Gawrada Anna, Gawrada Michał, Puharskyj Piotr, Figurski Józef, Pryszlak Jan, Gawrada Michał, Ołeksiv Mikołaj, Cap Michał, Chmura Piotr, Osidacz Bazyli, Dubskij Aleksander, Małanij Aleksander, Tełepko Julia, Pidcerkowna Katarzyna, Hrywnak Maria, Stefusiwa Maria, Baj Maria, Chmura Maria, Suchecka Maria, Pryszlak Maria, Wysznewecka Maria, Cap Maria, Szczur Pawlina, Cap Katarzyna, Słobodian Genowefa, Sołtys Julia, Sołtys Włodzimierz, Gawrada Józef, Pucharska Katarzyna, Sołtys Pawlina, Pańczyszyn Anieli, Nebesna Franciszka, Osietko Julia, Plewak Stanisław, Wysznewecki Jan, Ławycki Dmytro,

Czycz Jan, Czornyj Aleksander, Harabczuk Parańka, Stek Julia, Dyka Katarzyna, Cap Paraskewia, Korzecka Helena, Hrywnak Aleksander, Sokierka Bazyli, Łysak Bogdan, Tyczkowskyj Bazyli, Procyk Michał, Szczur Mikołaj, Zacharko Jan, Hrywnak Dymitr, Sołtys Mikołaj, Dyki Elias, Cap Piotr, Kaszczyk Aleksander.



Starostwo w Przemyślanach.

1167/19

PRZEPUSTKA

dla P. *Jenty Schapira*

lat *25* religii (wyznania) *mojżeszowego*

zawód *Pracownik*

Miejsce zamieszkania: *Przemysły*

OPIS OSOBY:

Wzrost: *175* Nos: *głęboki*

Twarz: *okągła* Usta: *głębokie*

Włosy: *czarne* Wąsy: *brzośki*

Oczy: *niebieskie* Broda: *brzośki*

Szczególne znaki: _____

Zezwała się wyżej nazwanemu(cej) na podróż piechotą, koleją, podwodą z *Przemysłu* do *Lwowa* i z powrotem w sprawie *przebiegu*


Przepustka ważna do *24 listopada* 1919.

UPOWAŻNIENIE DO JEDNORAZOWEJ JAZDY.

Przemysły, dnia *27/10* 1919.

Starosta:
Me

Podpis właściciela przepustki: _____



Druckerei L. J. Heubergers in Przemyślanach.

Przepustka z niespokojnych czasów, wystawiona 27.10.1919 r. w Przemyślanach dla Jenty Schapira, wyznania mojżeszowego, służąca do jednorazowej jazdy na trasie Przemysły-Lwów i z powrotem.
Źródło: www.polona.pl.

Listy do redakcji

Dzień Dobry.

Szanowny Panie Józefie.

Uzyskałem dwa tygodnie temu nowe dokumenty, kładące szersze światło na życie Wielebnego Księdza Proboszcza Struszkiewicza. Potrzebuję czasu aby to przeanalizować i spróbować do postaci życiorysu. Muszę Pana zapewnić, że jak tylko zakończę pracę i opublikuję wyniki na stornie Parafii Przemyślany, prześlę Panu gotowy tekst. Dodatkowym motywatorem jest kontakt jaki nawiązał ze mną UM POZNAŃ w sprawie ewentualnego upamiętnienia księdza. Zaproponowano uporządkowanie spraw dotyczących obecnego miejsca pochówku, lub nawet przeniesienia go w bardziej godne miejsce. (...)

Jednocześnie pracuję nad takim samym opracowaniem dotyczącym niesamowitego życia poprzednika ks. Struszkiewicza, powstańca styczniowego i wieloletniego Proboszcza, ks. Z. Biłskiego. Proszę o jeszcze trochę cierpliwości. Z wyrazami szacunku,

Tomasz Fojgt

<><><><><><><><><><><><><><><><><>

Dziękuję Panie Józefie za biuletyn. Gratuluję tak wyraźnych fotografii i bogatego objętościowo i merytorycznie tekstu. Czy będzie Pan dysponował wersją papierową do naszej Ściany Pamięci? Czy mam wydrukować i zblindować? Pozdrawiam!

Krzysztof Dziurla

<><><><><><><><><><><><><><><><>

Bardzo dziękuję za kolejny numer zeszytu. Cieszę się, że informacje o monumencie w Ostałowicach przysłały się do poszerzenia bazy wiedzy o pomordowanych w tym rejonie.

Żałuję, że z powodu pandemii i stanu mojego zdrowia nie dojdzie do skutku planowana podróż w tamte rejony. Moja tamtejsza korespondentka niestety przestała wykazywać entuzjazm i nie odpisuje. Skądinąd rozumiem to. Pozdrawiam serdecznie,

Andrzej Kowal

<><><><><><><><><><><><><><><><>

Szanowny Panie Józefie, o najnowszym biuletynie Adam i ja rozmawialiśmy wczoraj z podziwem i prawdziwym uznaniem. Raz jeszcze gratuluję! (...) Czy Pan ma może jakieś wiadomości od rodziny Kłosowskiej? Często i bardzo ciepło wspominaliśmy ich w różnych rozmowach, także, oczywiście, kiedy omawiamy niezwykłą sprawę ocalałego srebra ze Świrza. Z nadzieją, że Pan wraz z całą rodziną ma się dobrze, pozdrawiam serdecznie,

Piotr Piniński

<><><><><><><><><><><><><><><><>

Dziękuję za przesyłanie mi ciekawych materiałów. Ten ostatni o przeżyciu garstki Żydów w lasach jest szczególnie. Wzbogaca historie holokaustu i wnosi coś, czego nie znamy. Pozdrawiam serdecznie.

Jan Tyszkowski

PS. Wspomnę, że kiedyś prowadziłem budowę w Zarębie, z robotami na Bukowej Górze. Mieszkiałem w pałacu na dawnym majątku i miałem tam biuro.

<><><><><><><><><><><><><><><><>

Szanowny Panie, dziękuję za zainteresowanie moim artykułem. Rzeczywiście na przedruk powinna wyrazić zgodę Redakcja Don BOSCO. Niestety nie mogę w tym pomóc, ponieważ już tam nie pracuję. Tutaj jest kontakt: www.donbosco.pl/

redakcja. Proszę tylko poprawić błędy językowe, zanim Pan wykorzysta ten artykuł :). Serdecznie pozdrawiam. Z wyrazami szacunku

Małgorzata Tadrzak-Mazurek

Szanowny Pani Józefie.

Jak zwykle zagłębiłam się w lekturze „Spotkania Świrzan” i jestem pełna uznania pańskiej pracy. Wzruszająca jest „Kartka z pamiętnika”, tyle prawdy o Żydach i tyle emocji związanych z ich przeżyciami. Jedno mnie utwierdziło, że byli Polacy, którzy im pomagali bezinteresownie. Aczkolwiek brakuje mi szczegółów zamieszkania w tym leśnym obozie. Szczególnie szlachetna postać Józefa Kolałbińskiego daje nam przykład dobrego Polaka tam i tutaj. Co to znaczy żyć dla ludzi i mieć niezłomne zasady.

Wykaz zbrodni zawsze napawa smutkiem ale jest bardzo potrzebny dla pamięci o tych zamordowanych.

A na szczególną uwagę zasługuje treść „Lansitzer”, napisana pięknym językiem.

Natomiast historia Wicynia z ciekawia czytelnika. Czemu ta wieś była inna, bardziej tolerancyjna, wyrozumiała? Zgadzam się z autorem, iż pycha polskiej szlachty mogła doprowadzić do takiej niespotykanej nienawiści do Polaków. Ale czy to była tylko ta jedna przyczyna? I czy to może usprawiedliwiać okrucieństwo UPA?

I jak zawsze porusza mnie historia czyli „Zarys.....” to tyle wiedzy, którą często trzeba przypominać szczególnie młodym, jak cenna jest wolność człowieka. Pozdrawiam

Janina

<><><><><><><><><><><><><><><><><><><><><><><><><>

Szanowny Panie Józefie,
Jestem niezmiernie wdzięczna za kolejny numer „Spotkań...”. Szczególnie zainteresowały mnie pierwsze wspomnienia autorstwa Michała Żółtańskiego. Jakże cenna jest Pańska praca! Bezcenna! Czy mogę prosić o dopisanie mojego nowego adresu do otrzymywania Spotkań? Na stary zaglądam rzadko. Pozdrawiam serdecznie i w modlitwie pamiętać będąc o Panu i Pańskiej pracy!

Ewelina Szuter

<><><><><><><><><><><><><><><><><><><><><><><><><><>

Dzień dobry Panie Józefie.

Piszę w trzech sprawach.

1. Zapytuję czy ktoś wie, jakie wezwanie miał kościół, kaplica w wiosce Krosienko koło Przemysłu.

2. Czy ma Pan informacje na temat ochronki w Dunajowie, prowadzonej przez siostry zakonne. Chodzi o informacje do 1945 r. Wiem że dostał Pan też zdjęcie dzieci i sióstr. Czy można otrzymać taką kopię albo zdjęcie zdjęcia?

3. W Jednym z pism „Spotkania Świrzan” mowa była o Andrzeju Michaliszynie z Krosienka. Zamordowany został w czasie II wojny światowej za to, że pomagał Żydom z przemysłańskiego getta, dając im chleb. Czy jest więcej informacji na Jego temat. Jakies zdjęcie. To mój wujek, brat mojej prababci. Pozdrawiam

Krzysztof Kruszyński

<><><><><><><><><><><><><><><><><><><><><><><><><><>

Szczęść Boże. Szanowny Panie Józefie, redakcja wyraża zgodę na publikację w biuletynie „Spotkania Świrzan” wskazanego tekstu - „Musieliśmy tu zostać”. Prosimy o podanie autora oraz nazwy pisma.

Z pozdrowieniem

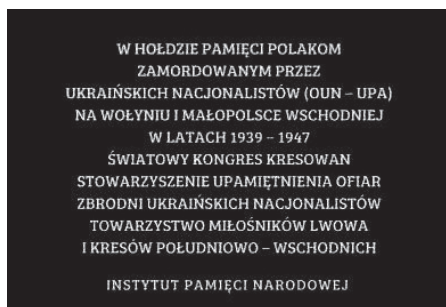
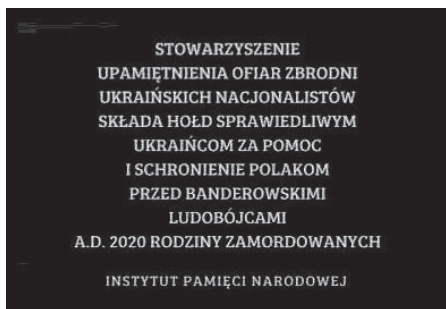
AMDG

INFORMACJE

W nocy z 7 na 8 lutego 2020 r. na murze ogrodzenia Konsulatu Generalnego RP we Lwowie przy ul. Iwana Franki 108 „nieznani sprawcy” namalowali napis „Наша земля” (Nasza Ziemia). Ściany budynku oblane czerwoną farbą – informuje portal zaxid.net.

+++++++

Redakcja otrzymała zaproszenie na uroczystość organizowaną przez Stowarzyszenie Upamiętniania Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów i Światowy Kongres Kresowian na Jasnej Górze w Częstochowie w dniu 5 lipca 2020 roku.



W programie m.in.: msza w Kapli-

cy Cudownego Obrazu MB w intencji zamordowanych, odsłonięcie i poświęcenie dwóch tablic pamiątkowych oraz konferencja naukowo-historyczna. Bardzo dziękujemy za zaproszenie.

+++++++

Do wydzierżawienia od zaraz majątność koło Przemyślan, Żędowic-Witoszyn, składająca się ze 100 morgów pola ornego, 2,5 morga łąk i 8 morgów pastwisk, z propinacją, pół mili od gościńca murowanego. (*Kurier Lwowski*, 1.04.1883 r.)

+++++++

Policyjny batalion 201 wchodzący w skład 62 pułku 201 Dywizji Ochronnej wziął udział w represyjno-pacyfikacyjnych akcjach na Wołyniu i na Białorusi, w których popełnił zbrodnie na żydowskiej, białoruskiej i ukraińskiej ludności cywilnej. Dzieci wyłapywane podczas obław na uciekające ofiary nacjonałiści ukraińscy - kolaboranci oddawali w ręce nazistów niemieckich. Dziewczynki i chłopcy w wieku od 4 do 15 lat byli umieszczani w obozach - „fabrykach krwi”. Dzieci w takich obozach m.in. zawieszano na sznurach zacisniętych pod pachami, co powodowało silny ucisk na klatkę piersiową. Odcinano skórę na stopach lub wykonano w nich głębokie nacięcia. Cała krew spływała do hermetycznych pojemników. Aby

zapobiec krzepnięciu krwi, wykonywano specjalny zastrzyk przeciwzkrzepowy. Tak otrzymana krew służyła do leczenia rannych esesmanów. Krzyż Żelazny przyznany Szuchewyczowi to dowód zadowolenia „niemieckich panów” z usług swoich „psów gończych”. Źródło: www.facebook.com/StowarzyszenieUOZUN/posts/2679336439056453.

++++++

Ukazała się (wydawnictwo Bellona) książka Damiana K. Markowskiego pt. *Ostatni dzień Hanaczowa. Polsko-żydowskie braterstwo broni w czasach zagłady*. Wykorzystując relacje świadków, autor napisał wzruszającą opowieść o tej wsi i bohaterskich jej mieszkańcach.

Razem z partyzantami i Żydami próbowali za wszelką cenę przetrwać krwawą pożogę. To także



historia ratowania Żydów przed Holocaustem i polsko-żydowskiego braterstwa broni w obronie Hanaczowa.

Książka zawiera 350 stron. Można ją nabyć w internecie. Wraz z wysyłką kosztuje ok. 35 zł.

++++++

Wojewoda Tarnopolski nadał magistrowi farmacji, Jadwidze Medyńskiej, koncesję na samodzielne prowadzenie apteki publicznej w Glinianach, którą to aptekę wyżej wymieniona nabyła od spadkobierców śp. magistra farmacji Adolfa Emila Hełma. (*Tarnopolski Dziennik Wojewódzki* z 1.04.1938 r.)

++++++

Janusz Horoszkiewicz, działacz kresowy niezwykle zasłużony w upamiętnianiu ofiar zbrodni ukraińskich nacjonalistów, który w ubiegłym roku (2019) otrzymał nagrodę Kustosza Pamięci Narodowej, dostał zakaz wjazdu na Ukrainę na 3 lata.

++++++

W zasobach Archiwum Głównego Akt Dawnych znajdują się dwa dokumenty: jeden prawdopodobnie związany ze Świrzem a drugi z Dunajowem. Pierwszy zawiera *Akta majątkowe i procesowe Jana Cetnera, kuchmistrza koronnego i jego żony, Wiktorii ze Szczuków, dotyczące wójtostwa Tajno (ziemia bielska)*. Są one z lat 1570-1572.

Drugi zawiera *Orzeczenie Trybunału Koronnego, dotyczącego mieszczan z Dunajowa*. Data

dokumentu - 6.06.1586 r.

Tamże jest również list Aleksandra Cetnera z 7.12.1706 r., ale nie można podać nazwisko adresata.

Ponadto znajduje się sprawozdanie Towarzystwa wzajemnego kredytu w Ciemierzyńcach z lat 1925, 1927, 1932-1933 i 1937.

+++++++

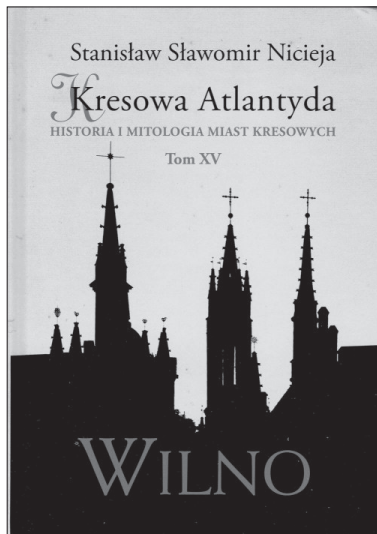
Portal *Kresy24.pl* jest od jakiegoś czasu finansowany przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów. Poprzednio był opłacany z budżetu Senatu RP.

+++++++

W dniach 11-12 lipca 2020 r. odbyły się w Kędzierzynie-Koźlu XVII Wojewódzkie Dni Kultury Kresowej oraz Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na Obywatelach II Rzeczypospolitej Polskiej. W programie msza św., marsz pamięci oraz konferencja naukowo-historyczna. Redakcja „Spotkań Świrzan” dziękuje organizatorom za zaproszenie.

+++++++

Ukazał się XV tom Kresowej Atlantydy - *Wilno* - autorstwa prof. Stanisława S. Niciei. Książka wydana na papierze kredowym z wieloma barwnymi fotografiami.



Twórca publikacji bardzo umiejętnie powiązał życiorysy prawie 1150 osób z historią Wilna i okolic. Na pewno będzie interesującą lekturą nie tylko dla ludzi z tego miasta.

Redakcja bardzo dziękuje Autorowi za przysłany egzemplarz.

+++++++

Grześków Michał ur. 1894 r. i zamieszkały w Chlebowicach Świrskich unieważnia zgubioną książeczkę wojskową wydaną przez PKU w Złoczowie. (*Tarnopolski Dziennik Wojewódzki* z 1.04.1938 roku.)

+++++++

Spotkania Świrzan - biuletyn wspomnieniowo-historyczny Świrzan i Ich Potomków. Nr 148. Zebrał, opracował i wydał - Józef Wyspiański. Adres redakcji: 59-337 Lubin, ul. Sokola 28/6, tel. 76-74-94-125, adres internetowy: erjotwulubin@wp.pl. Wydano w Lubinie, XII 2020 r. Druk MCKK Lubin. Przedruk tekstów pod warunkiem podania źródła. Rozpowszechnianie - bez ograniczeń. Redakcja będzie wdzięczna za wszelkie uwagi o przedstawionych treściach. Redakcja nie zawsze identyfikuje się z poglądami wyrażonymi przez autorów.